

Organ Klubu Włóczęgów w Wilnie

Włóczęga

Nr. 4

R. IV



TREŚĆ NUMERU:

Kiereńszczyzna społeczna *T. Nagurski*. — Problem reformy rolnej *St. Symonowicz*. — „Indje potrzebują żandarma” *Wacław Korabiewicz*. — Problem Narocza *W. Złmnicki*. — Alfred Wierusz Kowalski w grobach zasłużonych *Marjan Kulesza*. — Rzecz nieskończona (sztuka w 3ch aktach) (c. d.) *Władysław Arcimowicz*. — Muzeum Białoruskie im. Jana Łuckiewicza *L. Krawiec*. — Wracam do „Dziejów Wolności” *K. Leczyckiego War.* — Nie dla wszystkich korzystna inowacja *Lech Beynar*. — Książki i czasopisma *L. Krawiec i Czesław Bobolewski*. — Włóczęga po mieście i wsi.

„BIBLIJOTECZKA WŁÓCZĘGI”

1) Józef Poniatowski:

Polesie w strukturze gospodarczej Polski

2) Marja Znamierowska-Prüfferowa:

Muzeum na wolnem powietrzu w Wilnie

3) 18 ohydnych paszkwilów na Wilno i Wilnian

MOŻNA NABYĆ W ADMINISTRACJI „WŁÓCZĘGI”
(WILNO, PRZEJAZD Nr. 12) ORAZ W KSIĘGARNIACH

CENA TOMIKU — 50 GROSZY

WARUNKI PRENUMERATY: za 12 numerów — 5 zł. Konto P. K. O. Nr. 143.427, TEODORA NAGURSKIEGO
CENA OGŁOSZEŃ: 1/4 strony—50 zł., 1/2 strony—25 zł., 3/4 strony—15 zł., 1/2 strony—10 zł., z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Ogłoszenia przyjmuje administracja pisma

Komitet Redakcyjny i Wydawca: KLUB WŁÓCZĘGÓW.

Odpowiedzialny redaktor: PIOTR HERMANOWICZ

Redakcja: Wilno, ul. Bobrujska 19 m. 2, tel. 20-36, godz. 16—17.

Administracja: Wilno, ul. Przejazd 12, tel. 16-90, godz. 17—18.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ZNICZ” W WILNIE, UL. BISKUPA BANDURSKIEGO 4. TELEFON 3-40.

Kiereńszczyzna społeczna.

Od zgonu Wielkiego Marszałka, nie minął rok, gdy w społeczeństwie polskim rozpoczęły się charakterystyczne fermenty. Rozpoczęło się przegrupowanie sił społecznych, szukających haseł i dróg, któreby wskazały nowe ideały społeczne, oraz program gospodarczy, wiodący ku polepszeniu jeśli już nie dnia dzisiejszego, to przynajmniej jutra. Dążenia te są zrozumiałe: ich szczególne nasilenie w dobie dzisiejszej, tłumaczy się odczuwaniem potrzeby stowienia o losach Państwa Polskiego, którego steru już nie dźwierz dłoń Zmarłego.

Fermenty rozpoczęły się w grupach inteligentkich. Częściowo dlatego, że w dziedzinie pracy umysłowej, życie nasze jest względnie najgorzej zorganizowane, (bezrobocie w większych miastach, gdy w rzeczywistości brak inteligentów w miasteczkach i na wsi), częściowo spowodu dążeń natury czysto ideowej częściowo zaś spowodu dążeń do objęcia „rządu dusz“, do uchwycenia w swoje ręce wpływów na tak zwane masy, które w przekonaniu działaczy wszelkiego autoramentu, będą decydowały o władzy w Państwie.

Pierwszym obiektem do wpływania są robotnicy. Na teren robotniczy rzuciły się liczne grupy inteligentkie, rywalizując ze sobą i starając się poddać swym wpływom możliwie najliczniejsze grupy proletariatu miejskiego. Mamy tu i endecję i chadecję i Z. Z. Z. i P. P. S. z odmianami i wreszcie komunistów — tych ostatnich wprowadzie bez odmian, ale za to działających pod różnemi szyldzikami metodami, z naukową dokładnością opracowanemi przez Moskwę. Przy ruchach masowych najczęściej zwyciężają hasła najjaśniejsze, stąd przy licytacji wzajemnej haseł najłatwiejszą pozycję mają komuniści. Jak tego dowiodły tragiczne wypadki krakowskie, komuniści z właściwym sobie brakiem skrupułów co do wartości życia ludzkiego, wykorzystali masówki robotnicze dla swoich celów, ściślej zaś „pour les tzars de Moscou“. Polski policjant strzelał do polskiego robotnika, o co przecież władcom Kremla chodzi.

Nie zmniejsza to odpowiedzialności za wypadki krakowskie naszej administracji. Mimo działania „zgodnie z przepisami“ nie powinna była dopuścić do wytworzenia się sytuacji w której jedynym argumentem mogło być użycie broni. Winę ponoszą tutaj oczywiście nie organy wykonawcze jak policja, lecz rozkazodawcy.

Rząd Polski nie jest rządem reakcji przeciwnie — jest rządem demokratycznym. Nieudolny aparat urzędniczy używa metod endecji. Jest to sprzeczność, którą należy usunąć, w przeciwnym razie będziemy mieli swoistą odmianę Kiereńszczyzny, którą jest już zresztą zrażona znaczna część naszej inteligencji.

Nasza społeczna kiereńszczyzna polega w pierwszym rzędzie na swoistem radykalizowaniu inteli-

gencji. Inteligencja ta w umiejętny sposób jest wykorzystywana przez komunistów. Powstają zrzeszenia inteligentkie, tworzą się nowe pisma. W poszczególnych grupach zakonspirowani agenci komintermu kierują zespołami w imię bardzo demokratycznie brzmiących haseł. Hasła te są, jak wiadomo, w Rosji przeznaczone wyłącznie na eksport. Najbardziej tu podziwu godna jest ignorancja historii ze strony naszej inteligencji nawet w odniesieniu do czasów najnowszych: historii rewolucji rosyjskiej. Przecież ewentualna rewolucja polska zmiotłaby z powierzchni życia w pierwszym rzędzie tę właśnie inteligencję demokratyczną. Liberalna inteligencja niema dla siebie miejsca w ustroju komunistycznym.

Sytuacja Polski jest niepomysłna. W momencie, którym Rosja i Niemcy przeprowadzają w gwałtownem tempie zbrojenia, Polska znajduje się w stanie fermentów społecznych. Rewizja deflacyjnego programu — gospodarczego jest niezbędna. Radykalna poprawa sytuacji gospodarczej jest paląco potrzebna, pomijając już inne względy, również ze względów wojskowych. Wprawdzie przedwczesne są alarmy o rozpoczynającej się w Polsce rewolucji, niemniej, w naszych warunkach geopolitycznych nie możemy sobie pozwolić na to, co w innych krajach przechodzi bez większych wstrząsów. Wypadki krakowskie z roku 1936 posiadają pewną analogję z wypadkami krakowskimi z r. 1923-go — są wyrazem narastającego niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy, tylko że po roku 1923 przyszła rewolucja 1926 roku, co zaś przyjdzie po r. 1936 — trudno przewidzieć. Jedno daje się stwierdzić już teraz: oto komuniści dążą wszelkimi siłami do zdobycia w Polsce władzy, z niewątpliwym dalszym celem przyłączenia Rzeczypospolitej do Rosji w charakterze jednej ze związkowych republik sowieckich. W ogromnej większości społeczeństwa spotyka się ta nowa Targowica ze zrozumiałym wstrętem. Przeciwdziałanie akcji promoskiewskiej może rzucić nas jednak w objęcia faszyzmu. Może to być faszyzm najgorszy, wyrosły z haseł endeckich, z ich programem w którym przy najskrzętniejszych poszukiwaniach, nie można znaleźć nic więcej, prócz antysemityzmu. Taki faszyzm, niezawierający żadnych pierwiastków twórczych, może być tylko szkodliwy. Przeciwdziałać mu może skutecznie tylko silna i zwarta organizacja elementów demokratycznych, niezarażonych komunizmem. Czy istnieje możliwość tworzenia porozumienia zawsze różniczkowanych, niezgodnych, kłótliwych elementów lewicy? Jest to zadanie trudne, ale nie niemożliwe. Należy sobie powiedzieć, że zjednoczenie takie nastąpić **musi**, o ile ustrojowe przemiany Polski mają pójść po linii, wskazanej w maju 1926 roku.

T. Nagurski.

Problem reformy rolnej

W poprzednim numerze umieściliśmy artykuł p. T. N. p. t. „O Hasła Współczesnej Polski”, będący zagajeniem dyskusji nad zasadniczymi problemami Polski współczesnej. Jako pierwszy z cyklu tych artykułów umieszczamy niniejszy artykuł p. Symonowicza.

Od momentu wskrzeszenia państwa Polskiego problem reformy rolnej ze zmiennem natężeniem był lansowany na czele haseł ugrupowań społeczno-politycznych. Skrajna, radykalna koncepcja rozwiązania tego problemu, jako zagadnienia nawskroś gospodarczego, w granicach polskiej rzeczywistości napotykała na przeszkody. Niepowodzenia tej koncepcji w dużej mierze szukać należy w tem, że w problemie reformy nieprzewidziała ona hierarchii zadań i nie wskazywała planu kolejności ich realizowania. Zagadnienie szablonowej parcelacji, wielkich majątków ziemskich i wytknięcie na pierwszym miejscu kwestji tworzenia nowych osad, wymagały wielkiej pomocy finansowej ze strony skarbu państwa, a co najważniejsze — kwestji reformy rolnej nierozwiązywały, pozostawiając nadal odłogiem naczelną problem naprawy wadliwej struktury agrarnej wsi — komasacji gruntów i związanego z tem upelnorolnienia nieżywojących, mało-rolnych i karłowatych gospodarstw.

Dotychczasowe finansowanie reformy rolnej w Polsce *) — w tys. zł.:

Pożyczki długoterminowe w listach zastawnych

P. B. R.:

1) na kupno gruntów	142 438
2) na inwestycje rolne	109 232

Należności z F. O. R. R.:

1) z tytułu reszty ceny sprzedaży gruntów państwowych	247 864
2) kredyty dla osadników	174 987
3) kredyty dla rolników przy scalaniu	67 452
4) inne	19 784

Razem 761 757

W dalszym ciągu problem reformy rolnej jest naczelnym zagadnieniem gospodarki narodowej i w ramach polskiej rzeczywistości winien być jaknajrychlej realizowany. W realizowaniu jego winny być uwzględnione dwa zasadnicze momenty. Pierwszy — to komasacja gruntów wioskowych, jako najpilniejszy zabieg, zmierzający ku naprawie wadliwej struktury agrarnej i pozostającego łącznie z tem systemu gospodarki rolnej, drugi — ekonomiczne dysponowanie zapasem ziemi.

Reforma rolna nie może być wciąż traktowana jako zagadnienie szerokie, w której ramach mieszczą się sprawy: parcelacji, komasacji i t. d. — każda z osobna. Wieloletnie doświadczenie wykazało, że przy takim nastawieniu całego programu, efekt końcowy jest bardzo mały. Przesłanki przyświecające sformułowaniu naczelnego zadania reformy rolnej, nie mogą być oparte na abstrakcyjnych założeniach potrzeb życiowych, których wieś nasza ma mnóstwo. Winny natomiast być oparte o potrzeby odczuwane wspólnie przez setki tysięcy warsztatów rolnych, — które w

drodze reformy mogą być zrealizowane. Do takich właśnie potrzeb zaliczyć należy likwidację szachownicy gruntów, jaka od setek lat jest rozprzestrzeniona na znacznych obszarach Rzeczypospolitej. Nakład pracy i kapitału oraz zmiana systemu gospodarczego, pozwalającego na wykorzystanie nadmiaru rąk roboczych na wsi i zdobycie kawałka chleba — są skrepowane istniejącą odwiecznie szachownicą gruntów i pozostającą w ścisłym z nią związku gospodarką prymitywną.

Komasacja wsi, mająca na celu likwidację szachownicy gruntów i stworzenie nowych warunków pod rozwój systemu gospodarczego drobnego rolnictwa jest zagadnieniem naczelnym reformy rolnej, i jako takie powinno całkowicie wypełnić treść tej reformy. Prowadzona dotychczas akcja scaleniowa w stosunku do ogromu istniejących potrzeb jest bardzo powolna, obliczona na długie lata. Tempo akcji powinno być radykalnie zwiększone, tak, by zakończenie jej mogło nastąpić w przeciągu 5 do 8 lat najbliższych.

Znaczenie komasacji wieś docenia. Istnieje żywiołowy, powszechny pęd do scalenia. Rok rocznie do scalenia zgłasza się znacznie więcej wsi, aniżeli istnieje możliwość wykonania robót przez odpowiednie urzędy.

Ze względu na społeczno-gospodarcze znaczenie komasacji, koszty robót scaleniowych winny być w całości przejęte przez państwo. Wydatek finansowy uczestników scalenia, ograniczający się do zagospodarowania nowowydzielonych kolonij, byłby i tak, w porównaniu z pomocą państwową, bardzo znaczny.

Racjonalne wykonanie scalenia, któreby nawskroś zmieniło strukturę agrarną i usprawniło system gospodarki rolnej, wymaga równoczesnego upelnorolnienia drobnych i karłowatych gospodarstw. Bez upelnorolnienia scalanych gospodarstw, akcja scaleniowa traci swój sens, a nieraz gospodarczo jest wprost niemożliwą do przeprowadzenia. Doświadczenia wieloletnie wykazały, że upelnorolnienia wymaga około 35% gospodarstw scalonych i na wykonanie tego upelnorolnienia potrzebny jest zapas ziemi wielkości 10% obszaru scalanego. W stosunku do ogólnych potrzeb scaleniowych obszar ziemi potrzebnej na upelnorolnienie jest bardzo wielki, tak, że istniejące źródła, przewidziane ustawodawstwem niewystarczą na ich zaspokojenie.

W związku z ograniczonym zapasem ziemi, pozostaje drugi moment reformy — jaknajbardziej ekonomiczne dysponowanie ziemią w drodze parcelacji. Nurtujące wśród niektórych grup społecznych przypuszczenie, jakoby w Polsce w drodze parcelacji można całkowicie uszczęśliwić element bezrolny i mało-rolny, jest błędne. Gdyby nawet całkowicie uruchomiono zapas ziemi, ze źródeł przewidzianych ustawodawstwem, jak art. 4 i 5 ustawy o wykonaniu reformy rolnej (nadwyżki ponad podstawowe normy władania), oraz majątki nadmiernie obciążone długiem z tytułu należności podatkowych i bankowych

i inne drobne skrawki gruntów poleśnych, wystarczyłoby to zaledwie na pokrycie około 25% potrzeby upełnorolnienia przy scaleniu.

W tych warunkach, kiedy 75% ziemi braknie do upełnorolnienia w związku ze scaleniem, nie może być mowy by w drodze parcelacji tworzone nowe osady, tak, jak czyniono to w pierwszych latach powojennych. Byłoby to nieekonomiczne nastawienie reformy agrarnej. Drugim momentem, dla którego dotychczasowe nastawienie akcji parcelacyjno-osadniczej, winno ulegć ograniczeniu na rzecz upełnorolnienia przy scaleniu, to trudności finansowe państwa. Tworzenie nowych osad w drodze parcelacji, wymaga uruchomienia znacznych środków finansowych na nabycie ziemi dla osadników, na wzniesienie zabudowań i na zagospodarowanie. Naprzykład na zmontowanie i uruchomienie 10 hektarowego gospodarstwa, w obecnych warunkach na terenie woj. wschodnich, potrzebny jest kapitał conajmniej 6 — 7 tys. zł. Dla kredytodawcy tego rodzaju lokata kapitału jest bardzo ryzykowna, gdyż nabywca ziemi, który ze swej strony nie wnosi żadnego udziału, albo wnosi udział niewspółmiernie mały do uzyskanej pożyczki, niczem, lub prawie niczem nie ryzykuje.

Zupełnie inne są warunki przy upełnorolnieniu gospodarstw istniejących. Właściciel drobnego gospodarstwa posiadający 2—3 ha ziemi oraz jaki taki inwentarz żywy i martwy, może bardzo niewielkim nakładem pomocy finansowej ze strony państwa, doprowadzić swój warsztat pracy do norm gospodarki samowystarczalnej o obszarze około 6 ha. Państwowa pomoc finansowa na upełnorolnienie gospodarstwa ograniczyłaby się tylko do umożliwienia nabycia około 3 ha ziemi, czyli w wysokości od 800 do 1000 zł. Przyczem gwarancje racjonalnego zużycia i zwrotu pożyczki są dostateczne. Kredytobiorca wnosi bowiem do nowego gospodarstwa znaczny udział w formie części kapitału ziemi oraz inwentarza żywego i martwego.

Brakujących 75% ziemi na upełnorolnienie przy scaleniu, może być uzupełnionych z innego źródła, a mianowicie z tych obszarów gospodarstw, które nie podlegają przymusowi parcelacyjnemu i trafiają do obrotu ziemią w drodze parcelacji prywatnej i instytucyjnej. Składają się nań drobne folwarczki, zaścianki, grunty wioskowe oraz części lub całości majątków. Jest to pokaźne źródło podaży ziemi na wolnym rynku. Przy stworzeniu odpowiednich warunków finansowych przy nabyciu ziemi dla celów upełnorolnienia, podaż ziemi na wolnym rynku pochodzą-

ca z wymienionego źródła, całkowicie może wystarczyć na wykonanie planu naprawy struktury agrarnej istniejących gospodarstw. Pożyczki na dokupno ziemi celem upełnorolnienia, musiałyby być udzielane na okres 15 — 20 lat, przy oprocentowaniu nieprzekraczającym 2% w stosunku rocznym.

Przyjmując, że z wymagających scalenia na obszarze całego państwa 1100.000 gospodarstw, 35% — czyli 385.000 gospodarstw, będzie wymagało upełnorolnienia, globalna suma potrzebnych na dokupno ziemi kredytów zamknie się w granicach około 385.000.000 złotych. Jeżeli przyjąć, że całkowite wykonanie scalenia powinno być przeprowadzone w ciągu 5-ciu lat, roczna wysokość kredytów wyniosłaby 77.000.000 zł., co przy odpowiednich operacjach finansowych nie byłoby przedsięwzięciem wykraczającym poza możliwości wykonania. Wyniosłoby to znacznie mniej, aniżeli dotychczasowe koszty reformy rolnej, sięgające globalnej kwoty 762.000.000 złotych, jedynie z tytułu pożyczek udzielonych w listach zastawnych P. B. R. i należności Funduszu Obrotowego Reformy Rolnej.

Ponadto w planie komasacyjnym powinny być uwzględnione: pomoc finansowa skarbu na wykonanie meljoracyj rolnych, w związku ze scaleniem oraz pomoc kredytowa na przeniesienie zabudowań, na kupno drzewek owocowych, na dokupno inwentarza i t. p.

Wreszcie, komasacja gruntów jako zabieg techniczny, umożliwiający przekształcenie systemu gospodarki rolnej, winna być ukoronowana pomocą agromiczną gospodarstwom scalonym, ułatwiającą zorganizowanie warsztatów w nowych warunkach. Stworzenie pomocy agronomicznej, przez powiększenie kadry instruktorów, w stosunku do zwiększonej akcji komasacyjnej, umożliwi przyspieszenie tempa przekształcania systemu gospodarowania i zwiększenia produktywności wsi, która jest końcowym celem reformy agrarnej.

Wykonanie komasacji w tempie znacznie przyspieszonym, jest zasadniczym krokiem reformy agrarnej, który w ramach naszej rzeczywistości może i powinien być dokonany. Nie może być ona przewlekana na długie lata, gdyż każde opóźnianie odbija się ujemnie na procesie dzwigania się drobnego rolnictwa ku wyższym formom rozwojowym gospodarstwa wiejskiego, ku którym doszły już nprz. gospodarstwa duńskie, holenderskie, a do czego z wielkim wysiłkiem zmierzają inne państwa europejskie.

St. Symonowicz.

Odczyt Prezydenta Litwy A. Smetony wygłoszony ostatnio w Kownie, wywołał pewne poruszenie w prasie polskiej. Zabrali w tej sprawie głos publicyści tej miary co Wł. Wielhorski i Katelbach. Naszem zdaniem — i tu jesteśmy zgodni z postem Wielhorskim — przesadnemi są nadzieje jakiegoś zwrotu w stosunkach z Litwą, snute na podstawie wymienionego odczytu. Wskazuje on niemniej na pewną ewolucję stanowiska Litwy względem Polski. Prezydent Smetona wysuwa mianowicie cięć możliwości kompromisu. Na przestrzeni 10 lat — od Woldemarasa — do Smetony jest to jeden mały krok naprzód. O ile z tą samą szybkością będzie postępować dalsza w tej sprawie ewolucja pojęć Litwinów — nieprędko nastąpi normalizacja stosunków Polski z Litwą.

„Indje potrzebują żandarma“

Rabin Dranath Tagore powiedział raz do profesora College de France, pana Sylvaina Levy:

„Indje potrzebują żandarma.“

Jesteśmy grupami heterogenicznymi, które nie są jeszcze w stanie dojść do prawdziwej zgody. Nie możemy stworzyć narodu. Mamy różne wiary. Duża, czynna i ruchliwa grupa Mahometan usiłuje zapanować nad liczniejszą grupą wyznawców Brahmy. Indje potrzebują żandarma, przeto jest rzeczą oczywistą, że żandarm musi być płatny!“

O tym „żandarmie“ właśnie i opłacaniu jego będę dzisiaj mówił.

Utrzymanie 354-ch milionów ludzi w wiernopoddańczym spokoju, — ludzi obcych kulturą i wrogich nastawieniem, nie jest rzeczą łatwą. Nie byle jakiej trzeba na to szkoły policyjnej i nie byle jakiej wprawy organizacyjnej.

Tego potrafi dokazać tylko Anglik. Bo tam, gdzie się rozchodzi o cichą, niewidoczną dla oka, opartą na doskonałej konfidencji akcję polityczną, tam Anglik staje się genjuszem.

Nie wyjmując fajki z ust, z chłodem i obojętnością obliczy on w lot wszelkie swoje korzyści materialne i szybko a sprawnie uruchomi z poza biurka, aparaturę czynu, ubiegając wszystkich konkurentów.

Nikt nie będzie wiedział kto właściwie działa. Dopiero gdzieś po wielu latach historia wyjaśni: to był on... biedny, wyzyskany, szlachetny Lavrance! Nie! to był inny... to był tamten, i t. d.

W Indjach nie widać Anglików, bo cóż może znaczyć 300-to tysięczna garstka, rozrzucona na tak olbrzymim terenie, wśród 354-miljonowego tłumy.

Zresztą nikt tu nie nosi munduru. Nikt nie stawia wilhemowskich wąsów na sztorc. Tu biały pan czai się jak niewidzialny kot, na miękkich gumach limuzyny lub przemyka się gdzieś wywiadowczym motocyklem, albo wydaje tylko dyspozycje z werandy luksusowego banglow.

W Indjach nie widać Anglików, a jednak — jednak trzysta pięćdziesięć cztero milionowa rzesza gnie się w trwożliwym pokłonie przed wpojonym kolosem prestigeu. Nigdzie dotąd nie spotykałem tyle służalczego upodlenia wiele właśnie tutaj, w krainie Yogów, w kraju Gandich i Tagorów.

To dzieło nielada sztuki! — To dzieło grenjalnej polityki angielskiej.

Zastanówmy się teraz czy warto tracić tyle energii twórczej dla utrzymania pod butem kolosa indyjskiego. Czyli mówiąc dosadniej: jak wielką jest opłata „żandarma“?

Interesy angielskie w Indjach to:

1. możność wkładu dobrze rentujących się kapitałów,
2. bogaty rynek zbytu,
3. źródło bezpośredniego dochodu dla 300-tu tysięcy krezusowo płatnych urzędników angielskich.

Kapitał w pożyczkach dla Indyj wynosi: 251,000,000 funt. setrl. Kapitał w kolejnictwie wynosi: 121,000,000 funt. szterl. Kapitał w innych przedsiębiorstwach wynosi 210,000,000 funt. sterl. Czyli

odsetki od tego kapitału wynoszą rocznie około 1.5 miljarda złotych!

Polityka kredytowa służy tylko interesom angielskim. Zaraz po wojnie, przymusowa zniżka rupji z 2 szylingów na 1 szyling i 6 pensów, spowodowała ucieczkę kilku miliardów złotych do Brytanji. Przed paru laty jeszcze, drogą nacisku administracyjnego i odpowiednią agitacją, wydobyto ze społeczeństwa indyjskiego przeszło pięćdziesiąt milionów funt. sterl. w gotówce i biżuterji, co uratowało walutę angielską przed jej upadkiem.

O Indjach jako rynku zbytu dość powiedzieć, że w roku 1927/28 wywieziono do nich z W. Brytanji towarów za 3 miljardy i 600 milj. złotych — bagatela — odtąd import wciąż wzrastał.

Handel, przemysł i rolnictwo zostały tu kompletnie zmonopolizowane. Jaką drogą?

1. Przez wydobywanie bogactw z rąk klas posiadających, obejmując spadki po wygasających dynastjach książęcych.

2. Przez śrubowanie aparatu podatkowego. — Naprz. w Bengalu, przed przejęciem rządów w ręce angielskie podatek gruntowy dawał 800,000 f. szt. W niespełna 40 lat później podatek ten przekracza 2.5 milionów f. st.!

3. Paraliżowanie przemysłu rękodzielniczego i fabryk własnych — tubyleczych.

4. Zalewanie rynku wyrobami fabryk angielskich. Tak, w XVII wieku Indje słynęły z taniości i dobroci wyrobów tkackich, dziś wywóz takowych został zakazany.

Poza dochodami wyżej wymienionymi, niemałym łupem dla Anglii były zdobycze wojenne. Badacz stosunków indyjskich Digby (Prosperaus British India, Londyn 1906) ocenia zdobycz wojenną z Indyj dla jednego stulecia na miliard f. sterl.

Pozatem Indje dają Wielkiej Brytanji dochody stałe, w postaci tak zwanych „Home Charges“ (dani-na domowa), a przez Hindusów słusznie zwanych: „Foreign Charges“ (zagraniczna danina), stanowiących jedną piątą część indyjskiego budżetu.

Biorąc rzecz ogólnie, w/g obliczeń tegoż Digby, eksploatacja cesarstwa indyjskiego w okresie 1757 — 1899 przyniosła metropolji okragłe 6 miliardów funtów sterlingów!, a to było przed 37 laty! Sumę tą musimy conajmniej dziś potroić.

Tak więc „żandarm“ Tagorego dobrze jest opłacany. — Służba warta wysiłku!

Wacław Korabiewicz.

Wszystkim przyjaciółom naszego pisma składamy serdeczne życzenia Wesółych Świąt.

Kolegów Włóczęgów wzywamy na tradycyjną Włóczęgę Wielkanocną pierwszego dnia Świąt. Miejsce zbiórki i godzina wymarszu zostaną podane.

Problem Narocza

Wprowadzona w życie ustawa o rybołówstwie z dnia 7 marca 1932 r. wykazała w szczegółach brak dostosowania do istotnych potrzeb Ziemi Północno-Wschodnich.

W myśl art. 7 ustawy o rybołówstwie, rybołówstwo jest ściśle związane z prawem własności wody i należy całkowicie i wyłącznie do właściciela wody. Zastosowanie tego artykułu w praktyce prowadzi do pokrzywdzenia licznych rzesz rybaków zawodowych, posiadających nabyte uprawnienia na t. zw. wodach wstępnych, bo doprowadza w konsekwencji do pozbycia tych praw na rzecz właściciela wody.

Wobec tego, że Dyrekcja Lasów Państwowych jest właścicielem części wód jez. Narocz, to przy zastosowaniu tego artykułu może nastąpić przymusowy wykup uprawnień rybaków naroczańskich. D. L. P. postanowiła też wykupić własność wód innych współwłaścicieli Narocza.

Szczególnie zainteresowana jest D. L. P. w wykupie praw i uprawnień do Narocza od czasu wydzierżawienia przez nią obwodu rybackiego Narocz wraz z jez. Miastro.

Z jezior Narocz i Miastro (ogółem 9.308 ha) utworzono w kwietniu 1935 r. obwód rybacki. Wkrótce potem odbył się przetarg, przeprowadzony przez Starostwo Powiatowe w Postawach i z dniem 10 kwietnia 1935 r. Dyrekcja Lasów Państwowych w Wilnie wydzierżawiła ten obwód rybacki na przeciąg lat 15-tu za czynszem dzierżawnym zł. 12.000.— i daniną na zarzwanie zł. 30.000 — rocznie w ciągu pierwszych 5 lat, zł. 36.000 — w ciągu następnych 5 lat i zł. 40.000 — w ciągu ostatnich 5 lat. W myśl art. 10 Ustawy właściciel prawa do rybołówstwa w cudzej wodzie obowiązany jest na żądanie właściciela tej wody pozbyć mu to prawo. Jeśli zaś strony nie dojdą do zgody co do ceny, to stanowić ją będzie średni dochód roczny z rybołówstwa za ostatnie trzy lata, pomnożony przez dwadzieścia.

D. L. P. preliminowała dochód roczny z Narocza na zł. 130.000.— i taki on też był przypuszczalnie w latach ubiegłych, toteż w konsekwencji musiałaby wypłacić współwłaścicielom wód i uprawnionym rybakom sumę 20-krotną, t. j. 2.600.000.— Współwłaścicieli wód nad Naroczą jest zaledwie kilku, natomiast zawodowych rybaków około 2.000. Rybacy otrzymaliby w razie wykupu ich uprawnień po ca. zł. 1.300 na rodzinę i to w najlepszym wypadku, gdyż po uprzednim zaspokojeniu pretensyj właścicieli wód przez D. L. P. — Dyrekcja Lasów Państwowych zastosowała jednak inną zasadę przy zamierzonym wywłaszczeniu uprawnionych do wód, a mianowicie: przymusowy wykup oparła na 20-krotnym czynszu dzierżawnym, który wynosi zł. 12.000, a więc daje sumę wykupu zł. 240.000, czyli, że sumę przeszło 10-krotnie mniejszą, niż ustawa o rybołówstwie przewiduje. Przy zastosowaniu tego klucza przy wykupie, rybacy otrzymaliby po ca. zł. 120. na rodzinę za cenę zrzeczenia się swych uprawnień do Narocza.

Kilka wsi rybackich posiada uprawnienia dokumentalne z czasów dawnej Rzplitej, większość zaś nie posiada uprawnień dokumentalnych, lecz nabyła uprawnienia przez długoletnie użytkowanie w przeciągu kilku pokoleń. *Przyczyną nieporozumień, niepokojów i incydentów nad Naroczem jest właśnie stano-*

wisko D. L. P. w związku z zamierzonym wywłaszczeniem rybaków w/g ustalonego klucza przez Dyrekcję Lasów Państwowych.

Należy zaznaczyć, że rybacy naroczańscy są poważnie bezrolni lub małorolni, zaś jez. Narocz jest dla nich poważnym, częstokroć jedynym źródłem egzystencji.

Podczas dość częstych nieurodzajów w okolicach Narocza ludność tamtejsza żywiła się rybą bez soli i chleba w przeciągu paru miesięcy w ciągu roku. D. L. P. w razie uwłaszczenia obwodu rybackiego Narocz może zatrudnić przy swoich narzędziach połowu około 150 rybaków, pozostawiając resztę rybaków wywłaszczonych losowi. Po podpisaniu umowy dzierżawnej przez D. L. P. ze Starostwem w Postawach, Dyrekcja zażądała od władz administracji ogólnej (Inspektorat Rybactwa Urzędu Wojewódzkiego w Wilnie) *bezwzględного usunięcia rybaków z dzierżawionego przez się obwodu rybackiego Narocz.*

Inspektor Rybactwa początkowo robił próby usunięcia rybaków, dotychczasowych użytkowników, lecz ludność zajęła groźną postawę i doszło do zająć z władzami i policją.

Na miejsce zaburzeń wyjeżdżał w czerwcu 1935 r. wojewoda wileński Władysław Jaszczołt celem uspokojenia umysłów i wynalezienia środków zaradczych, prowadzących do zlikwidowania stanu bezprawia. W rezultacie petraktyj z rybakami wojewoda wileński wydał odezwę następującej treści:

„Do ludności rybackiej zamieszkanej nad jeziorem Narocz.

Po rozpatrzeniu zgłoszonych do mnie w dniu 22 czerwca r. b. próśb ludności rybackiej, zamieszkanej nad jeziorem Narocz, obwieszczam co następuje:

1) Jezioro Narocz podlega przepisom ustawy o rybołówstwie z dnia 7 marca 1932 r.

2) Z jeziora tego został utworzony obwód rybacki, który dnia 10 kwietnia r. b. został przez Starostwo Powiatowe w Postawach prawomocnie wydzierżawiony Dyrekcji Lasów Państwowych w Wilnie.

3) Do czasu wyjaśnienia praw własności i praw wstępu do jeziora Narocz, wypłata czynszu dzierżawnego zostanie wstrzymana, zaś po wyjaśnieniu tych praw czynsz dzierżawni (12.000 zł. przyp. autora) podzielony będzie pomiędzy osoby uznane za współwłaścicieli lub za mających prawo wstępu do jeziora.

4) Dla zabezpieczenia interesów ludności rybackiej, zamieszkanej przy jez. Narocz, niniejszem ogłaszam, że do umowy dzierżawnej były wprowadzone następujące punkty:

a) przy połowie ryb będzie zatrudniona tylko ludność miejscowa;

b) w okresie zimowym Dyrekcja Lasów Państwowych zatrudni przy połowie ryb wędka nie mniej niż 100 osób z pośród biednej ludności miejscowej.

Ponadto w porozumieniu z Dyrekcją Lasów Państwowych oświadczam:

1) Ludność rybacka zamieszkała przy jeziorze Narocz będzie mogła łowić rybę własnymi przepisami narzędziami rybackimi z wyjątkiem niewodów i podwołók; (najważniejszy rodzaj połowu — przyp. autora).

2) Złowiona w ten sposób ryba będzie nabywana wyłącznie przez Dyrekcję Lasów Państwowych za gotówkę po cenach podawanych przez N-ctwo Państwowe Narocz do wiadomości zainteresowanych na 1 miesiąc naprzód.

3) Ludność zamieszkała nad jeziorem Narocz będzie mogła nabywać drobną rybę po cenie nie wyższej niż 5 gr. za 1 kg., jednak wyłącznie na własne potrzeby bez prawa odsprzedaży, zaś zatrudnieni rybacy, z odłowionej przez siebie ryby otrzymają rybę drobną bezpłatnie w ilości do 30 kg. miesięcznie na każdego, również tylko na własne potrzeby bez prawa odsprzedaży.

Dyrekcja Lasów Państwowych, jako dzierżawca obwodu rybackiego, niezwłocznie rozpocznie układy z zainteresowanymi rybakami co do warunków połowu ryb ich własnymi narzędziami na jez. Narocz, w szczególności — co do rejestracji narzędzi rybackich, ustalenia miejsc połowu oraz punktów nabywania i sprzedaży ryby i t. p.

Wilno, dnia 1-go lipca 1935 roku.

Wojewoda Wileński
(—) Władysław Jaszczołt.

W myśl artykułu 30 ustawy o rybołówstwie powiatowa władza administracji ogólnej dzieli dochód, osiągnięty z dzierżawy obwodu rybackiego między właścicieli rybołówstw, wcielonych do obwodu rybackiego. Nad Naroczem zamieszkuje około 2.000 rybaków z rodzinami, którzy egzystencję swą opierają na odłowach ryb z obwodu Narocz, podział zaś rocznego czynszu dzierżawnego zł. 12.000 — w żaden sposób nie okrywałby potrzeb ludności rybackiej, gdyż wypadłoby na głowę po parę złotych rocznie.

W dodatku pkt. 2 obwieszczenia wojewody głosi, że wypłata czynszu dzierżawnego *zostanie wstrzymana* do czasu uregulowania praw własnościowych ludności naroczańskiej.

Następnie pkt. 4 obwieszczenia nie daje podstaw do zabezpieczenia egzystencji ludności rybackiej przez możliwość zatrudnienia w przedsiębiorstwie D. L. P. *calej ludności rybackiej*.

Wreszcie przyznane prawo połowu własności sieciami wyłączyło z pod tego dobrodziejstwa niewody i podwłoki, zapomocą których dokonywa się gros połowów, nie stanowi więc żadnej kompensaty, tembardziej, że cena za złowioną rybę ma być jednostronnie dyktowana przez Dyрекcję Lasów.

Widmo głodu pchnęło ludność rybacką do zajęcia negatywnego stanowiska względem zarządzeń wojewody.

Ludność rybacka z nad Narocza nie zastosowała się do zarządzeń wynikających z odezwy i dokonywała połowów niewodami i podwłokami. Wobec wytworzonego stanu rzeczy i nieprzejednanej postawy ludności *Inspektorat Rybactwa Urzędu Wojewódzkiego cofnął się z wykonaniem zarządzeń, podrywając przez to autorytet władzy wojewódzkiej*.

W obecnej chwili dokonywują połowów ryby na jeziorze Narocz i Miastro: prawny dzierżawca obwodu D. L. P., opłacający czynsz dzierżawy, oraz dotychczasowi użytkownicy wspomnianych jezior, *pomimo pozornego zakazu władz*.

W dodatku, rybacy, zatrudnieni w administracji Narocza parokrotnie już urządzili strajk na znak solidarności z niektórymi dotychczasowymi pokrzywdzonymi użytkownikami Narocza, których ostatnimi czasy pociągnięto do odpowiedzialności sądowej za nieprawne połowy ryb.

Strajk nosił również charakter manifestacji przeciwko nowym formom użytkowania obwodu rybackiego Narocz. *Stan bezprawia na obwodzie rybackim Narocz trwa dotychczas*, zaostrenie zaś stosunków

pogłębia się przez wywrotową agitację, znajdującą podatne podłoże wśród tamtejszej ludności mieszaney, składającej się w przeważnej części z białorusinów wyznania prawosławnego.

Uporządkowanie i podniesienie produkcji ryb na obwodzie rybackim Narocz wymaga fachowej opieki i zdrowych podstaw kalkulacji kupieckiej. Tymczasem, plany gospodarcze D. L. P. *nie są oparte na kalkulacji kupieckiej i wskazują na nieunikniony znaczny deficyt, narażając przez to Skarb Państwa na straty. Należy również dodać, że D. L. P. uszczupla dochody Skarbu Państwa, bowiem nie opłaca żadnych podatków z tytułu prowadzonego przez się gospodarstwa rybackiego na obwodzie rybackim Narocz*. Wydatki, związane z eksploatacją obwodu rybackiego Narocz w ciągu 15-letniego okresu dzierżawy przez D. L. P. są nieproporcjonalnie wyższe od możliwych dochodów w tym zakresie. Dla zabezpieczenia sobie swobody działań na terenie gospodarstwa rybackiego na obwodzie Narocz D. L. P. *musiałaby w pierwszym rzędzie zaspokoić pretensje właścicieli wód i użytkowników za wynagrodzeniem w wysokości conajmniej zł. 2.000.000, co stanowi skapitalizowany dochód roczny zł. 100.000 (D. L. P. preliminowała zł. 130.000 rocznego dochodu), przyjmując stopę kapitalizacji 5% rocznie*.

Według naszego zdania rozwiązanie sprawy obwodu rybackiego Narocz może być następujące:

1) Rozwiązać umowę dzierżawną na obwód rybacki Narocz zawartą pomiędzy D. L. P. w Wilnie a Starostwem Powiatowem w Postawach, na podstawie § 1. art. 56 Kodeksu Zobowiązań.

2) Ustalić stosunki własności i użytkowania na obwodzie Narocz.

3) Stworzyć Spółkę Rybacką Jeziorową na mocy art. 40 ustawy o rybołówstwie.

4) Wypuścić w dzierżawę obwód rybacki Narocz Spółce Rybackiej Jeziorowej.

Byłoby pożądanem, by prawnicy, ichtiologowie i ekonomiści raczyli się wypowiedzieć na łamach prasy w kwestji naroczańskiej, zbyt przewlekłej i zaognionej.

Nazwiska uspołecznionych fachowców widzimy na łamach prasy przeważnie wtedy, gdy chodzi o akcję, na której czele stoi znana i wpływowa osobistość.

Trąbiono na wszystkie strony o szarym człowieku, lecz gdy szary człowiek naroczański znalazł się w potrzebie, niewiele znalazł poparcia ze strony prasy demokratycznej.

Prasa zachowawcza broni szarego człowieka naroczańskiego dlatego, że chodzi jej o obronę praw własności wogóle przed nacierającym etatyzmem.

Prasa narodowa jak zwykle zwalcza każde posunięcie władz, w danym wypadku administracji ogólnej w pierwszym rzędzie.

Jak długo będzie trwała walka prasowa o Narocz i czy można spodziewać się pozytywnych rezultatów w najbliższym czasie — trudno przewidzieć.

W. Zimnicki.

Alfred Wierusz Kowalski w grobach zasłużonych

W połowie bieżącego miesiąca spoczęły w grobach zasłużonych ementarza Powązkowskiego w Warszawie prochy znakomitego artysty-malarza ś. p. Alfreda Wierusz-Kowalskiego, sprowadzone przez rodzinę zmarłego z Monachjum. W uroczystościach żałobnych wzięli udział oprócz rodziny zmarłego przedstawiciel Ministerstwa W. R. i O. P., członkowie Zarządu T-wa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie oraz wiele osób ze świata literacko-artystycznego. W bieżącym roku minęło 20 lat od śmierci zmarłego w Monachjum artysty, który, stale przebywając w tem mieście, rozwijał ożywioną działalność artystyczną i towarzysko-społeczną. W marcu roku ubiegłego Zachęta Sztuk Pięknych w Warszawie zorganizowała wystawę, poświęconą pamięci zmarłego artysty i obejmującą 55 obrazów, drobny ułamek tak rozległej twórczości artystycznej. Wystawa ta jednak przypominała społeczeństwu o zasługach ś. p. Alfreda Wierusz-Kowalskiego, położonych dla sztuki polskiej. Wielki talent artysty promieniował w dziełach nagradzanych medalami na wystawach zagranicą (Wiedeń, Dreźnie, Berlin, Monachjum, Paryż) i jednocześnie reprezentował charakterystyczne cechy polskiej tradycji

i zamiłowań. Skala tematów w obrazach nader urozmaicona: mistrz światła malował księżycowe noce zimowe z ich nieodłącznym towarzyszem wilkiem, miasta i wsie polskie z weselem i typami ludowymi, lub sięgał do motywów historyczno-rycerskich. Reprezentował sztukę polską zagranicą w okresie, kiedy wszelkie przejawy twórcze ducha polskiego były tłumione przez zaborców i zbiorowe wystawy artystów naszych mogły odbywać się jedynie tylko w kraju. Propaganda polskości zapomocą sztuki „ambasadorki“, jak to określa krytyk p. Bunikiewicz, wzbudziła zagranicą zainteresowanie typami, folklorem i przeszłością Polski, co już stanowiło ogromną zastęgę ś. p. Alfreda Wierusz-Kowalskiego, honorowego profesora i członka akademii monachijskiej.

Na zakończenie chciałbym podkreślić jeszcze jeden rys charakteru ś. p. Alfreda Wierusz-Kowalskiego, jako człowieka, mianowicie jego miły stosunek do młodszej braci artystycznej, którą skupiał w swoim gościnnym domu. Przychodził on jej z pomocą materialną i radą w studjach artystycznych na gruncie monachijskim; zjawisko, niestety, rzadko spotykane w dzisiejszych czasach.

Marjan Kulesza.

Rzecz nieskończona

Sztuka w 3-ach aktach z epilogiem

c. d.

LASOCKI. (*Wchodzi*). Przepraszam za spóźnienie. Wezwano mnie do chorego. Tak nagle. Szczęściem niedaleko.

ŚLISKI. Właśnie układaliśmy plan wyborczy.

LASOCKI. Myślałem w drodze nad tą bezpartyjną listą. Naogół imponuje mi ten projekt. Nawet porzywa mnie. Mamy w tem niejako przewyżczenie formalizmu, przewyżczenie martwej doktryny, która wiezi sumienia i umysły ludzkie. Zabija ona wszelką indywidualność, wszelki szlachetny, samodzielny odruch (*mówi, coraz bardziej się unosząc*).

ŚLISKI. Ależ kolega jest dzielnym mówcą. Nie spodziewałem się u was takiej zdolności. Musicie przemówić na kilku większych wiecach, — efekt zapewniony.

LASOCKI. Nigdy nie przemawiałem publicznie, a na tematy polityczne myślę pierwszy raz w życiu. Dotychczas poprzestawałem na przyjęciu do wiadomości tego, co piszą w dziennikach.

ŚLISKI. To nic, to nic. Wyrobi się kolega na tego dyplomata. Zdolności niewątpliwie są.

LASOCKI. Nie chciałbym zostać dyplomatą w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. Jest to podobno praca, polegająca na wyprowadzaniu w pole zarówno wrogów, jak i sprzymierzeńców.

ŚLISKI. No to cóż? Kolega mógłby reprezentować typ dyplomaty odmiennego, urobionego podług własnego ideału.

LASOCKI. Właśnie, właśnie, — dążyłbym wszy-

sktami siłami do wprowadzenia etyki chrześcijańskiej do pracy politycznej.

ŚLISKI. Doskonale. — Niech to kolega ustawicznie w swoich przemówieniach powtarza. To doskonale atut agitacyjny.

LASOCKI. To nie atut agitacyjny, — to moje najgłębsze przekonanie.

ŚLISKI. Tem lepiej, tem lepiej, — to nada słowom kolegi moc przekonywującą. Przystąpmy do omówienia szczegółów naszej akcji. Coprawda jest nas tylko trzech, lecz zeszlismy się przypadkowo. Ufamy sobie nawzajem, lecz któż zaręczy, że jutro ufać jeden drugiemu będziemy mogli. Musimy mieć jakiś środek zaradczy na wypadek, gdyby ktoś z nas sprzeniewierzył się wspólnym celom. Proponuję, abyśmy na wzór list partyjnych wszyscy trzej napisali zrzeczenie się ewentualnych mandatów i złożyli je na ręce osoby zaufanej, która w ten sposób uzyskuje możność usunięcia w każdej chwili niewiernego sprzymierzeńca.

BURMISTRZ. Ba, ale skąd wziąć taką osobę, do której wszyscy mielibyśmy zaufanie?

ŚLISKI. Proponuję pannę Iżę na pełnomocnika naszej listy.

BURMISTRZ. Jakto? Moją córkę?

ŚLISKI. Tak. Godzi się pan, panie kolego?

LASOCKI. Coprawda jestem zaskoczony tą propozycją, ale nie mam powodu nie zgodzić się.

ŚLISKI. Więc pošlijmy po nią. (*Widząc nagle wchodzącą Iżę*). Ale oto i ona, Lupus in fabula.

SCENA XIV.

IZA. Powiedziała mi służąca, że tatuś śpieszył się na zebranie do kasy chorych i zapomniał portfel na stole w domu. Sądziłam, że może być bardzo potrzebny, więc przyniosłam.

BURMISTRZ. Owszem, bardzo dobrze zrobiłaś. Kochane dziecko. *(Czuje ją w czole)*.

ŚLISKI. Najbardziej cieszymy się z tego, że pani samą siebie nam tu przyniosła. Przed chwilą obraliśmy panią na pełnomocnika naszej dzikiej listy, z której wszyscy trzej tu obecni zamierzamy kandydować do Sejmu.

IZA. Ach, to ślicznie. Ja dawno już wiem o tej waszej liście, podsłuchałam wszystko i tak mi się chciało wziąć udział w tej waszej pracy, że właściwie przyszedłam tu, aby się samej wam narzucić. Ale teraz to tak się cieszę, tak się cieszę, że wy sami mnie zapraszacie.

ŚLISKI. Zostaje pani pełnomocnikiem naszej listy. Musi pani dbać, aby wszystkie formalności prawne były we właściwym czasie załatwione, żeby z tego powodu nie ucierpiały nasze prawa. Powinna pani dokładnie przestudjować ordynację wyborczą.

IZA. Już ją przestudjowałam.

BURMISTRZ. A co? Czy nie mówiłem wam, że to nieoceniona dziewczyna. Ponadto wybraliśmy cię, mój kwiatku, na męża zaufania.

IZA. Na kogo?

ŚLISKI. Na męża zaufania. Wszyscy trzej napiszemy i złożymy na pani ręce zrzeczenie się z mandatów, które zamierzamy uzyskać. Gdyby ktokolwiek z nas sprzeniewierzył się naszej wspólnej sprawie, pani skieruje jego zrzeczenie się do kancelarii sejmowej i on, rad nie rad, straci natychmiast wszelkie prawa poselskie.

IZA. Panowie nie obawiacie się dać mi tak wielkiej władzy nad sobą.

BURMISTRZ. Świat by się chyba skończył, gdyby człowiek własnemu dziecku nie mógł ufać.

ŚLISKI. Ja z całą gotowością powierzam swój los w ręce pani.

IZA. *(Do Lasockiego)*. A pan?

LASOCKI. Powierzając los najdroższych mi spraw pani, nie mam już nic do stracenia. Jeżeli nawet pani zaufać nie możnaby było, — toby i życie musiało nie mieć najmniejszego sensu.

IZA. W takim razie dziękuję wszystkim panom za zaufanie i przyrzekach, *(powoli, patrząc znacząco w oczy Lasockiemu)*, że ideały, o które walczyć umówiliście się, będą miały we mnie niezachwianego obrońcę.

BURMISTRZ. A ślicznie, ślicznie, — widzicie no, panowie, jak ona pięknie potrafi mówić? Żeby to dzidzi miało trochę więcej latek, wzięlibyśmy ją na czwartego posła. No ślicznie się wszystko ułożyło. A teraz proszę do mnie, przegryziemy coś nie-coś i wypijemy za pomyślność dzikiej listy.

LASOCKI. Ja dziękuję. Nie mogę. Mam dziś jeszcze parę korespondencyj do załatwienia.

BURMISTRZ. To pan panie doktorze *(mówi do Śliskiego)* nie odmówi. *(Do Lasockiego)*. Żegnamy pana doktora.

IZA. *(Znacząco)*. Do widzenia.

ŚLISKI. Do widzenia, kolego. Nie przepracowujcie się tutaj. Oszczędzajcie siły dla spraw większych.

(Burmistrz, Iza i Śliski wychodzą. Lasocki zamyka drzwi, gasi częściowo światło, rozkłada na biurku papiery, zapala papierosa i zabiera się do pisania. Nagle dzwonek u drzwi wejściowych. Lasocki wychodzi otworzyć i po chwili wraca z Izą).

SCENA XV.

IZA. Pan dziwi się, widząc mnie tu znowu?

LASOCKI. Nie.

IZA. W takim razie piękne zdanie musiał pan sobie wyrobić o mnie. Widocznie sądzi pan, że lece na niego.

LASOCKI. Nie.

IZA. A więc cóż pan myśli o przyczynie mojego tu przybycia?

LASOCKI. Nie zdążyłem jeszcze pomyśleć o przyczynie.

IZA. Cha, cha, cha, cha... Odrazu zaczął pan myśleć o skutkach. Naprawdę, naprawdę, — żadnych skutków nie będzie. To tylko mój kaprys. I gdyby nie kaprys, za nic w świecie nie przyszedłbym tu dziś wieczorem i wogóle nigdy bym tu nie przyszedł.

LASOCKI. Ależ nie wątpię i ani przez chwilę nie wątpię.

IZA. A to dlaczego? Nie wątpił pan? *(ze łzami w głosie)*. Dlaczego pan nie wątpił? Czy pan ma mnie za taką głupią gęś prowincjonalną, za taką mieszczańską polską Wandę, która wszystko robi tylko tak, jak wypada. Czy pan mi nie wierzy, że ja jestem zdemoralizowana, bardzo zdemoralizowana?

LASOCKI. Pozwoli pani, że będę mówił na serio, nie jak mężczyzna, który niespodziewanie znalazł się sam na sam z imponującą mu piękną kobietą, lecz jak przyjaciel do przyjaciela. Tego wymaga powieści chciały uchodzić za kurtyzany.

IZA. Nie rozumiem. Nie widzę w tej sytuacji nic nadzwyczajnego. A na przyjaźniach mężczyzn w stosunku do dziewcząt znam się doskonale.

LASOCKI. Niegrzecznie byłoby przeczytać kobiecie, ale przyjacielowi powiem, że poważnie wątpię co do wielkiego doświadczenia tak młodej osoby.

IZA. To dowodzi tylko pańskiej naiwności.

LASOCKI. Przypominam sobie cały szereg moich znajomych, młodych i rozbawionych panienek, które mogłyby wszystkie uchodzić za ideał cnoty i niewinności, a które pod wpływem przeczytanych powieści chciały uchodzić za kurtyzany.

IZA. Ja powieści nie lubię.

LASOCKI. To dobrze, to dowodzi wyrobienia estetycznego. Zapewne razi panią rozwlekłość, nawet niepotrzebnych słów, woda. Ja również bardzo rzadko biorę do ręki jakąkolwiek powieść. Wolę odczytywać najciekawszą z najciekawszych książek, wiecznie otwartą i wiecznie narastającą księgę życia.

IZA. A to ciekawe. Niech mi pan powie, jak się to robi. *(Siada przy nim)*.

LASOCKI. Ot, tak. Naprzykład dziś wyczytałem w tej księdze nowy rozdział, zapoznający mnie z bohaterką jakiejś nowej, niewątpliwie ciekawej akcji.

IZA. Niech mi go pan streści.

LASOCKI. W pewnem mieście za górami, za lasami, za oceanem, żyła pewna dziewczynka. Miasto było duże, ludne, ale obok tego nudne i brudne, więc dziewczynce bardzo się nudziło. Z tego powodu ta grzeczna, bardzo grzeczna dziewczynka...

IZA. Pan nie umie czytać. Niech pan zacznie od elementarza. Ta dziewczynka nie była taka grzeczna, jak pan sobie wyobraża. To była bardzo zepsuta, zła... a może nawet nietyle zła, ile bardzo nieszczęśliwa dziewczynka.

LASOCKI. Ja wyczytałem, że ta dziewczynka była szczęśliwa, ale bardzo kapryśna, takie małe „wszystkożle“...

IZA. Myli się pan, myli, bardzo się pan myli! Nie umie pan czytać, nie umie... *(mówi to tklawie i coraz ciszej, przysuwając twarz do jego twarzy)*. Ale... ale... ale... ja pana... zato tak bardzo kocham.

LASOCKI. Izo... *(Uściski)*.

IZA. *(Odetchnęła i siada tak, że widzi drzwi wejściowe, do których Lasocki siedzi odwrócony plecami)*. Kochany mój, Jedyny mój, nikogo nie kochałam tak, jak ciebie.

LASOCKI. *(Ze zbudzoną podejrzliwością)*. A inaczej?

IZA. Nie mówmy o tem. Nie mówmy o tem. Ja jestem teraz taka szczęśliwa, taka szczęśliwa. Nigdy taka szczęśliwa nie byłam.

LASOCKI. *(Tuli ją)*. Nie mówmy o tem. Nie mówmy o tem.

IZA. *(Nagle widzi w drzwiach woźnego, który się zaraz cofa)*. Ach!

LASOCKI. *(Patrzy na Izę)*. Co się stało?

IZA. Nic, nic już. Wydało mi się, że tu ktoś jest oprócz nas.

LASOCKI. To niemożliwe. Woźny już pewno śpi, a klucze mamy tylko on, ja i Śliski. *(w drzwiach zjawia się Śliski, znacząco spogląda na Izę i znika. Iza go widzi, Lasocki nie spostrzega)*.

IZA. *(Zrywając się)*. Ty, ty mój jedyny. Dobranoc.

LASOCKI. Już odchodzisz Izo?

IZA. Muszę.

LASOCKI. Musisz?

IZA. No tak, już jest późno.

LASOCKI. Rzeczywiście... A ja zapomniałem, że już jest późno. *(Podaje jej płaszcz i porywa w objęcia, zwrócony plecami do drzwi. W drzwiach znowu ukazuje się, zjadliwie uśmiechnięty, Śliski)*.

IZA. *(Ujrzała Śliskiego, ten kryje się. Iza, wyrrywając się z objęć Lasockiego)*.

Dobranoc. *(Biegnie ku drzwiom i stamtąd wyciąga ręce ku Lasockiemu)*. Do widzenia. *(Wybiega)*.

LASOCKI. *(Posuwa się wolno ku drzwiom z wyciągniętymi przed się, jak do powitania rękami)*.

(Kurtyna)

Władysław Arcimowicz.



Z KIERMASZU NA ŚW. JERZEGO

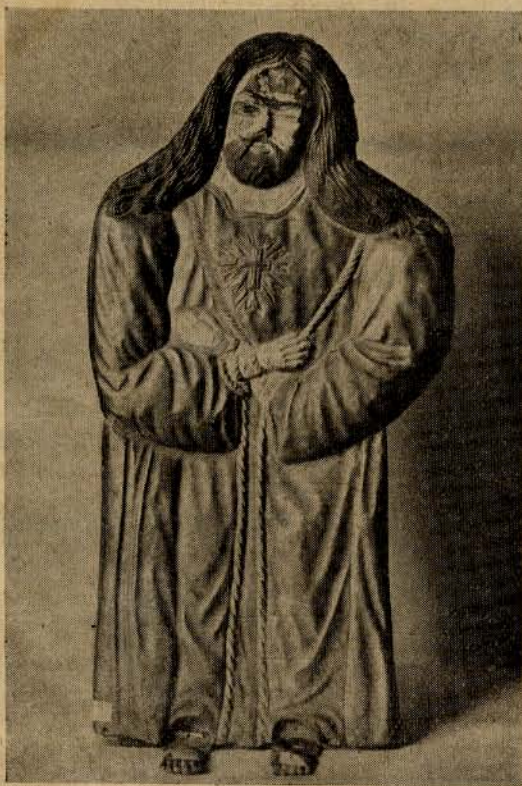
Fot. J. Buthak.

Muzeum Białoruskie im. Jana Łuckiewicza

Mniej więcej przed dwoma laty przyjechał do Wilna pewien cudzoziemiec, który — zajmując się zagadnieniami z zakresu dziejów kultury na ziemiach W. K. Lit. — pragnął zapoznać się z pewnymi zabytkami literackimi z XVI wieku w języku białoruskim. Niestety, nie znalazł tego, czego szukał — ani w Bibliotece Uniwersyteckiej, ani też w Towarzystwie

Po drugie — obcemu mogą się nasunąć przypuszczenia, że przewodniki świadomie nie wspominają o Muzeum Białoruskim, jak zresztą i Litewskim, z racji jakowychś tendencji politycznych. Myśl podobna przykro musi przyjeźdźnego uderzyć. — A czy jest słuszna? — trudno pohopnie sądzić. Może tylko poprostu przeoczenie, lub lekceważnie powoduje brak informacji o wspomnianych zbiorach?

W każdym razie faktem jest, że wycieczki rzadka trafiają do Muzeum Białoruskiego; przewodnicy lub przewodniki prowadzą wycieczkowiczów do celi Konrada, do cerkwi św. Trójcy — ale do Muzeum nie. (Inna rzecz, że wejście do niego jest tak ukryte i niepozorne, tabliczka z napisem niewidoczna, iż można przejść kilka razy obok ganeczku i nie zauważyć). Zresztą, co mówić o wycieczkach — i Wilnian wielu nie wie, że istnieje Muzeum Białoruskie. Nawet osoby, które dość często bywają w murach pobazylijskich z racji uczęszczania na „Srody Lite-



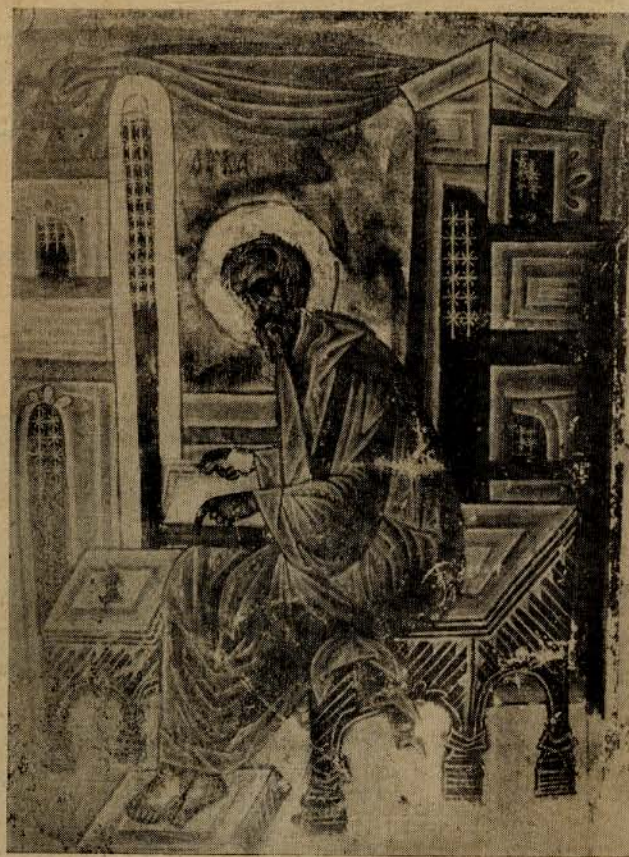
Iluminacja z Ewangelji XVI wieku z Meliszewa pod Brześciem.
(W Muzeum Białoruskim im. J. Łuckiewicza).

Przyjaciół Nauk. Poniósłszy napróżno znaczne koszty na podróż, straciwszy moc czasu — zawiedziony w nadziejach miał już wracać do swego kraju, gdy ktoś z przygodnie poznanych przez niego ludzi zwrócił mu uwagę na Muzeum Białoruskie, o którego istnieniu ów uczony nie wiedział. Odszukawszy zagubione w murach pobazylijskich Muzeum, dowiedział się ku wielkiej radości, że materiały, za którymi taki szmat świata wędrował, tuż się właśnie znajdują. Przesiedział bez odpoczynku wiele godzin, pracując intensywnie, aby porobić wszystkie potrzebne mu wyciągi, i notaty przed rychłym odjazdem.

Oczywiście dziwił się, że tak trudno jest trafić do Muzeum Białoruskiego!

Jakież wnioski wysnuć można z tej przygody obcego uczonego?

Po pierwsze — smutną jest doprawdy rzeczą, że przewodnik po Wilnie słówkiem nawet jednym nie wspominając o rzeczonych zbiorach. Skądże więc przyjeźdźni mogą wiedzieć o ich istnieniu?



Postać Chrystusa, wykuta z miedzianej blachy, ze złoceniem i polichromją. Z Turgiel pod Wilnem.
(W Muzeum Białoruskim im. J. Łuckiewicza).

rackie" nie wiedzą, że tuż obok na parterze mieszczą się dość okazałe zbiory historyczne i że warto je poznać.

* * *

Sześć małych sal — to oczywiście zbyt szczupły lokal dla zbiorów — archeologicznych, etnograficznych, numizmatycznych, sfragistycznych, archiwalnych, pamiątek historycznych i t. d. Z braku miejsca

nie może być mowy ani o odpowiednim urządzeniu Muzeum — eksponaty są stłoczone — ani też o udostępnieniu szerszej publiczności wszystkich bardzo ciekawych zabytków historycznych, których pokaźna część spowodu ciasnoty leży bezużytecznie w zamkniętych szafach. Pokój kierownika Muzeum jest wszystkim: kancelarią, wypożyczalnią, czytelnią, pracownią naukową i wreszcie pomieszczeniem dla niektórych zbiorów. Szcupłość lokalu rzuca się rażąco w oczy.

Białoruskie Towarzystwo Naukowe na posiedzeniach swoich kilkakrotnie rozpatrywało sprawę nabycia domu, w którym możnaby względnie dobrze umieścić muzeum, archiwum i bibliotekę, lecz trudności finansowe nie pozwoliły na zrealizowanie projektu. W roku 1930 była nawet możliwość wszczęcia pertraktacji o kupno domu — bo Towarzystwo posiadało już powyżej 10.000 zł. — lecz wyłoniły się szkopy: inne znowu, natury moralno-społecznej. Ponieważ suma ta została złożona w Białoruskim Banku Spółdzielczym (Białoruski Kooperatywny Bank), który przeżywał poważny kryzys, powstało pytanie: podjąć wymienioną kwotę i w ten sposób przyczynić się do upadku Banku i równocześnie zgubić materialnie wielu ubogich włościan, dłużników tej instytucji — czy odsunąć, przynajmniej narazie, termin nabycia domu do trochę lepszych czasów. Wybrano to drugie

W dzisiejszych ciężkich warunkach finansowych

Towarzystwa Naukowego nie można się spodziewać, by dom na pomieszczenie zbiorów został w najbliższym czasie nabyty. Tymczasem dobro zbiorów i interes kulturalno-społeczny naszego miasta wymagają koniecznie już dziś obszerniejszego lokalu, gdzie możnaby wzorowo rozmieścić eksponaty. Sądzę, że nie potrzeba nikogo przekonywać, iż porządne zorganizowanie Muzeum Białoruskiego leży nietylko w interesie Białorusinów — ale wszystkich mieszkańców Wilna i ziem północno-wschodnich. Przy pewnej trosce i wysiłku z naszej strony możnaby tę sprawę załatwić. W tym samym gmachu, gdzie obecnie znajduje się Muzeum, mieści się na I i II piętrze Państw. Prawosławne Seminarjum Duchowne. Szkoła ta jest w stadium likwidacji, za kilka lat przestanie wogóle istnieć, gdyż liceum teologicznego, zdaje się w Wilnie nie będzie. Otóż, czy nie byłoby wskazane odstąpić jeśli nie cały lokal, to przynajmniej kilka większych sal na pomieszczenie muzeum, archiwum i biblioteki — i w ten sposób przyjąć z wydatną pomocą borykającemu się z trudnościami Towarzystwu Naukowemu.

Mam wrażenie, że byłoby to należycie przez Białorusinów ocenione. Z drugiej strony świadczyłoby to o zrozumieniu i sprawiedliwej ocenie Muzeum Białoruskiego, jako instytucji społeczno-kulturalnej.

Warto się nad tem zastanowić.

L. Krawiec.

Wracam do „Dziejów Wolności“ K. Leczyckiego

Zapowiedziałem w poprzednim numerze, więc wracam, chociaż jest to wszystko czemś, takim o czem się myśleć nie chce! Nie sztuka, lecz ten grunt, na jaki trafiła ona w Wilnie.

Nie zagustował w sztuce i nasz stały sprawozdawca teatralny. Trudno — to rzecz gustu. Oczywiście Reymont i Sienkiewicz pisali inaczej. Zresztą nie mam pretensji najmniejszej do tych, którzy na sztukę Leczyckiego patrzą inaczej niż ja. Jeżeli poruszyłem i poruszam jeszcze raz recenzję p. Hro, to nie z powodu różnicy zdań, lecz z przyczyn istotniejszych, a mianowicie dlatego, że recenzja ta przeanalizowana staje się wybornym komentarzem do recenzowanej sztuki.

Przedewszystkiem zaznaczyć nawiasowo trzeba, że recenzja jest, powiedzmy delikatnie, nieprzemysłana. Recenzentka powiada: „Spróbujmy streścić“, a potem podaje rzeczy, których w sztuce niema, lub które w sztuce przedstawiają się inaczej.

Mianowicie wbrew temu co twierdzi p. Hro.: 1) wiadomem jest dlaczego rodzina „prezesunia“ jest w nędzy, bo przecie papcio powiada, że mu z jego 480 zł. po odtrąceniu podatków zostaje „zaledwie na papierosy“, my dodajmy: i na dziewczynki; 2) Wiadomo tedy i dlaczego córka „prezesunia“ szuka pracy u p. Rozenblum. 3) Po scenie z papciem i zecerem po symulowaniu samobójstwa, już syn „nie wpada“, na scenę, tylko zecer wchodzi i jest

final o którym mowa będzie za chwilę i t. d., i t. d. Jeszcze jest w recenzji parę takich „dokładności“ w streszczeniu t. zw. akcji, które dają wybitne świadectwo uwadze z jaką p. Hro starała się zrozumieć recenzowaną sztukę. Wiadomo, poco się wysilać! To przecież ten nasz znajomy wileński Kazio L.

Nie tedy dziwnego, że nie rozumiała. Nie rozumiała tej najprostszej rzeczy, że tu o akcję rozchodzi się jak najmniej. Nie rozumiała, że pomimo różnicy w skali talentu między Leczyckim a Wyspiańskim, tak samo śmiesznem byłoby czepiać się np. „Wesela“ pod kątem widzenia realizmu fabuły.

Czemu prezesówna wychodzi ni stąd ni zowąd za szewcowicza? — pyta naiwnie p. Hro. Tak samo mogłaby zapytać:

— Czemu Rachela u Wyspiańskiego przybywa na wesele?

Temu, Paniusieczka, że autorowi było to potrzebne, aby wyrazić to, co chciał wyrazić.

A co chciał wyrazić? W każdym razie nie realizm fabuły i dlatego zbanalizował umizgi czy może pertraktacje małżeńskie szewcowicza z prezesówną. A że recenzentka w tym właśnie kierunku zdradza wybitną ciekawość, że może nawet znaczna część widzowni podzieli ją, — cóż autor temu wi-

nien. Na to jedna rada, — chodźcie państwo na Devala, Fleursa, Fredrę, Kiedrzyńskiego, Perzyńskiego i piszcie o nich. Tam znajdziecie to, o co wam chodzi.

Spróbujmy teraz streścić to, co rzeczywiście jest w sztuce, co stanowi, powiedzmy tradycyjnie, jej treść.

Jest inteligencja i jest mieszczański proletarij. Pierwszą wyraża rodzina „prezesunia“, drugi — szewca. Każdy obóz pozatem ma swoich starych i młodych. Między młodymi różnice pod względem umysłowym zatarły się. Marjaże tu są całkiem możliwe i udane (szewcowicz — prezesówna); zato w pokoleniu starem i umysłowo i moralnie dzieli te dwa światy cała przepaść. Umysłowo góruje inteligent, moralnie — szewc. Umysłowość inteligenta daje siłę jego zgniliznie moralnej, rozciąga on ją szeroko poza swoją sferę, nęci i wciąga w nią młode pokolenie rodziny szewckiej. Ale nie jest to sprawa dwóch rodzin, to jest sprawa społeczna i państwowa. Przedajność, zwyczajna przedajność, która odróżnia ulicznice od uczciwej kobiety, przenika wszystkie dziedziny życia i czyni zeń jeden, jak się wyraża w sztuce zecer, wielki bajzel, raczej kartel bajzli. Społeczeństwo się sprostyowało pod każdym, nie tylko seksualnym, względem — oto jest sens sztuki.

„W całym naszym miastu można powiedzieć, jest tylko taka fabryka jak ich [to znaczy stałych gości lupanaru] i taki tylko handel jak mój“, — każe mówić Leczycki madam kartelowej, właścicielce lupanaru. (Cytuję według egzemplarza maszynopisu udzielonego mi łaskawie przez Teatr. Czy na scenie te słowa padły — nie pamiętam). — Oto sedno rzeczy.

W tym ogólnym odnieciu prostytucji dwóch tylko ludzi usiłuje z niego się wyrwać: szewcowicz i prezesowicz. Pierwszy sprzeciwia się, prostytuuje się sam, aby od prostytucji uchronić własną rodzinę, — drugi bierze szerszy rozmach — chce zwalczać prostytucję w jej podstawach społecznych.

Prostytucją jest dziennikarstwo, sprzedające swe usługi kartelowi, wywołującemu szluczne bezrobocie, — prostytucją jest opłacana bezczynność dyrektorów unieruchomionych fabryk, prostytucją jest samo istnienie kartelu, — raczej nie, — kartel jest to już coś więcej, — jest to ciągnięcie zysków z cudzego nierządu. Nie nadarmo właścicielkę lupanaru nazwał Leczycki madame Kartelowa. Ona i Kartel to jedno. Celem ich, sprostywanie społeczeństwa tak, aby każdego kupić można było, aby każdemu celem było tylko użycie i komfort; lub przynajmniej grosz. Idee się zamienia na piękne hasła bez treści, które wcale ładnie się rentują. No i jest tu wyjątków, — bo przecież stary szewc, pakujący to powszechne. Niema tu wyjątków, — bo przecież stary szewc nie liczy się. Nie liczy się, bo to przecież pokolenie wymierające, a społecznie bezwładne. Cóż znaczy wobec kolosalnych rozmiarów złego to, że szewc pakuje madame Kartelową na pewien czas do więzienia. Ona już mu pokaże, gdzie raki latem zimują, — niech tylko wyjdzie z paki.

I nic, a nic nie wieści lepszego jutra.

Jeszcze taki finał, jaki dano na Pohulance, to pewien wiew nietyłe optymizmu, ile oportunizmu. Ale ten finał to zmiana tekstu dokonana przez autora później, prawdopodobnie pod jakimś wpływem. Wybiła tu autor prezesowicza. Każe mu gi-

nać śmiercią samobójczą, gdy w idei swej został zupełnie osamotniony, gdy się okazało, że sam jeden odczuwa prostytucję jako zło. W pierwopisie było inaczej (znowu według egzempl. teatralnego). Tam finał był taki: początkowo widać było rękę prezesowicza sięgającą po rewolwer na półce, a potem „za oknem słychać śpiew chóralny maszerujących szkół, w połowie śpiewu dochodzi z za kotary stłumiony przez śpiew straż.

Zecer — Co to? Strzał czy auto? (Wygląda prze okno). Aha! Auto! Szkoły idą! Znowu jakaś uroczystość!

(Zasłona).

Tak było w pierwopisie. Potem go wykastrowano w tem miejscu z zacięcia satyrycznego. Podobno kierownik literacki chciał jeszcze wprowadzić tu na scenę prezesowicza z sygnetem na ręce, od którego, jak i odsygnetu jego ojca, rzekomo odbiła się kula samobójcy. Tobv było świetne reżyserskie pociągnięcie w duchu całej sztuki. Przecież w sztuce szewcowicz mówi prezesowiczowi, gdy ów twierdzi, że nigdy nie będzie takim niczoniem jak on i jak prezes: — „Będziesz kochanie, będziesz. To tylko sprawa czasu“.

Tak tedy przez zmianę finału Leczycki dobrą, ciętą satyrę sceniczną, zmienił na banalny melodramat. Kiepski to był doradca, który mu to podszeptał, czy wmówił. Zmiana ta to łyżka dziegciu w beczce miodu.

A teraz postawmy sztukę Leczyckiego wobec rzeczywistości. Nie sędzę, żeby ktokolwiek mniemał że daje ona syntezę dnia dzisiejszego, ale twierdzę, że na pewnym odcinku daje ona jego wierne chociaż groteskowe odbicie. Odbicie to jest artystycznym przez te właśnie syntetyczne, jak ktoś je nazwał: dziennikarskie, skróty, które recenzenci wileńscy mają Leczyckiemu za złe, domagając się większego rozważowania epizodów i spraw w kierunku realistyczno-psychologicznym. Może rzeczywiście Leczycki pisał sztukę tę nieco za pośpiesznie, może rzeczywiście nie zdążył wykończyć detali, ale wykończenie to w każdym razie nie musiało polegać na rozważowywaniu. Może tu lub tam należałoby zmienić, dodać lub ująć wyraz czy znak przestankowania, gdziekolwiek przeredagować zdanie na treściwsze, obrazowsze, dosadniejsze — ale nie więcej.

A odcinek rzeczywistości oddany przez Leczyckiego jest wierny. Dowodów nie potrzebuję szukać daleko. Sięgam tylko znowu do wspomnianej już recenzji p. Hro i czytam znowu streszczenie sztuki przeplatane uwagami recenzentki:

— „Tu zjawia się syn jakiegoś dyrektora i głośi (powtarzać to będzie w każdym akcie) że jest prostytutką, bo sprzedał się gazecie „Wolność, która zmieniła front ideowy na utylitarny (podkr. moje). O Boże, żeby gorszych grzechów nie było „ciepieresznym czasem“, mówiąc regionalnie. O wiele bogatsi ludzie sprzedają się za marniejsze grosze najbezczelniej i chodzą uśmiechnięci i nie sobie z tych koziołków przekonaniowych nie robią. Pokrzywdzą ludzi wyzyskując ich i sami wypłyną zgarniając podarki, a tamci? Niech giną“.

A więc to, co oburza Leczyckiego, to co on nazywa prostytucją przekonań, to p. Hro przyjmuje spokojnie dziwi się niepokoju Leczyckiego i nazywa tylko „Zmianą frontu ideowego na utylitarny“.

Nawiasem wtrącamy i tu uwagę o dokładności streszczenia Tu zjawia się syn nie „jakiegoś tam dyrektora“, lecz syn tego prezesa, który sam wybitną rolę odegrywa w sztuce i roli syna od roli ojca bez wypaczenia sensu oddzielać nie można. Ale to tylko nawiasem. Chodź o to zasadniczo, że przedajność według p. Hro nie jest prostytutką, a tylko „zmiana frontu ideowego ma utylitarny“.

Przypomnijmy tutaj, że madam Kartelowa w sztuce nazywa to samo „zdrową polityką ekonomiczną w dzisiejszym kryzysie“...

Przypomnijmy sobie również, że w sztuce madame Kartelowa mówi o Hance, że ta przebywając w zamaskowanym lupanarze, wyludza od mężczyzn pieniądze, jednak „nie złego nie robi“.

Złe dla madame Kartelowej (t. j. prostytutka) to tylko akt fizjologiczny. prostytutka tedy, która pieści impotentą — nie popełnia prostytucji.

A zobaczmy, co mówi p. Hro. „Syn dyrektora

wia z szewcówną i z punktu wpada w szal, jakby wpada wtedy, gdy ojczunio w drugim pokoju rozmachł złapał in flagranti“.

Rzecz przecie dzieje się „w drugim pokoju“ lupanaru o czym wiedzą i syn i ojciec i p. Hro. O czym ma rozmawiać starszy pan z młodą dziewczyną w lupanarze? Według p. Hro to jeszcze nie jest in flagranti. Żeby stwierdzić in flagranti syn widocznie musiałby ze świecą zajrzeć pod kołdrę.

Jeżeli w ten sposób reaguje na zagadnienia przedajności i prostytucji znana i dobrze zasłużona publicystka, która bądź co bądź wyraża do pewnego stopnia opinię pewnych warstw, to czy trzeba jeszcze dowodów, że sztuka Leczyckiego utrafia w sedno dnia dzisiejszego i cała tragedia autora polega na tem, że dla niego ohydą prostytutką jest to, co dla wielu, może bardzo wielu jest tylko „zajęciem frontu utylitarnego“.

War.

Nie dla wszystkich korzystna inowacja

Sądzę, że nauczyciele historii w szkołach średnich obserwują bez entuzjazmu zmianę, jakiej uległy tomiki Bibljoteczki Poradni Dydaktycznej, wychodzącej przy Kuratorjum Okręgu Szkolnego Wileńskiego. Wprawdzie już na pierwszym z tych zeszytów widnieje, powtarzająca się zresztą ciągle zapowiedź: „pomoc dla nauczyciela, realizującego program publicznej szkoły powszechnej na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie“. Ten ekskluzywny, zawodowo i terytorjalnie, ton nie przeszkadzał jednak korzystać z wydawnictwa i nauczycielowi szkoły średniej, pracującemu w woj. białostockiem.

Dopiero ostatnie zeszyty, konstrukcją i doбором materiału różniące się zasadniczo od poprzednich, podważają dość poważnie możliwość stosowania bibljoteczki, jako pomocy naukowej na lekcjach historii w gimnazjum.

Różnica polega na zastosowaniu układu „słownikowego“. Ostatnie zeszyty są to alfabetyczne wykazy miast, wsi i osiedli ludzkich, położonych na ziemiach póln.-wsch. Polski, przyczem każdą z nazw zaopatrzone względnie krótkim opisem roli danej miejscowości w tych momentach dziejowych, które program ministerjalny uczynił tematem nauki historii w szkołach. Rozciągłość tych opisów ulega wahaniom, zależnym najczęściej od znaczenia i wielkości omawianego osiedla. Od trzech wierszy, poświęconym Chodorówce, czy Bobrom, do kilku stron, mówiących o Wilnie. Zeszyty dawniej wydane, aż do 13 włącznie, nosiły charakter wypracowania niekiedy omfocie zaopatrzonego cytatai ze źródeł. Otóż ten właśnie dawniejszy typ nadawał się również do użytku w szkołach średnich. Nie mam bynajmniej zamiaru twierdzić, że sprawa możności posiadania pod ręką tomików, z których każdy dostarcza szeregu drobnych, „lokalnych“ szczegółów historycznych, jest nauczycielowi gimnazjum obojętna. Zainteresowanie ucznia szczegółami z dziejów jego rodzinnej miejscowości da się stwierdzić doświadczalnie. Bytność Władysława IV w Sokółce, to sensacja dla trzynastoletniego obywatela tego miasta. Również wiekowy mieszkaniec Kuźnicy zainteresuje się żywo faktem ufundowania przez Zygmunta Au-

gusta kościoła w tej miejscinie. Te lokalne kontakty, konieczne w szkole powszechnej, są również niezbędne w gimnazjum, a Bibljoteczka znakomicie je ułatwia.

Chodzi mi jednak o rzecz inną. „Gdziekolwiek możliwym jest dla klasy nabycie wiadomości z książki (źródła), nie powinien mówić nauczyciel, gdziekolwiek jakiś tekst może być wydobyty przez samą klasę, nie powinien wyjść z ust nauczyciela“. (Wedł. Pohoskiej). Programy wyraźnie polecają lekturę źródeł. „Podstawowym zadaniem przy nauczaniu historii jest zorganizowanie pracy uczniów nad niemi“. Tak, ale poruszona już dość dawno przez p. Wara w „Kurjerze Wileńskim“ sprawa nalewania z próżnego, wciąż jeszcze jest aktualna. Lektura tekstów źródłowych jest rzeczą bardzo pożyteczną, ale tylko wtedy, gdy uczeń ma tekst przed sobą. Samo słuchanie monotonnego odczytywania jakiegoś dokumentu, sprowadza żywe zainteresowanie dla spraw, dziejących się za oknem. Znalezienie odpowiedniej ilości egzemplarzy, znalezienie wogóle potrzebnych wydawnictw, nie należy do zadań łatwych. Tomików Bibljoteczki, niestety, niema w handlu, ostatecznie jednak można zebrać kilka sztuk od kolegów nauczycieli.

Dzisiaj, gdy prenumeratorzy Dziennika Urzędowego Kuratorjum otrzymali już 19 zesz. Bibljoteczki, można dokonać podsumowania dotychczasowej roli wydawnictwa. Spostrzeżenia swoje opieram na doświadczeniach, poczynionych w Gimnazjum im. H. Sienkiewicza, Koła Polskiej Macierzy Szkolnej w Grodnie.

Nie należy sądzić, że Bibljoteczka nadawała się tylko dla klas niższych. W tomiku I np. („Marszałek Józef Piłsudski w Wilnie i na Wileńszczyźnie“, opr. dr. Wł. Arcimowicz) znajdziemy artykuł F. W. Oertzena: „Józef Piłsudski w Genewie“. Temat w sam raz dla klasy siódmej. Gdyby nie Bibljoteczka, trudno byłoby znaleźć w Grodnie artykuł, drukowany w „Czasie“. Naogół biorąc, wydawnictwo specjalnie pasuje do programu kl. szóstej i drugiej nowego typu. Opracowanie p. dr. Walerjana Charkiewicza o hetmanie Ostrońskim, p. Tadeusza

Łopalewskiego o Batorym, dokumenty, cytowane w zeszycie o Zygmuncie Augustcie, wszystko to nadaje się doskonale. Taki układ zeszytu, w którym tekst opracowania łączy się z odpowiednimi cytatami, pozwalał stosować wydawnictwo, jako lekturę ilustrującą i jako materiał do analizy źródeł. Rezygnować z tych korzyści nie możemy! Jaka szkoda np., że p. Zwolski do swej pracy o Władysławie IV nie mógł włączyć większej ilości cytatów. **Czyżby nie było sposobu na równoległe zaspokojenie obu postulatów?** Dostarczenie wiadomości regionalnych mogłoby iść w parze z podsumowywaniem ich odpowiednio dobranymi cytatami i opisami, o ogólniejszym jednak znaczeniu. Tego rodzaju „teksty źródłowe”, spełniając swą zasadniczą rolę, polegającą na zetknięciu ucznia z surowym materiałem historycznym, miałyby pewien plus emocjonalny. To jest zupełnie co innego mówić o rzeczach dalekich i oderwanych, a co innego znowu, jeżeli podamy do opracowania materiał dotyczący znanego terenu. Nie

chodzi tu o partykularyzm, gdyż siłą rzeczy (program!) muszą być stosowane cytaty o charakterze bardziej ogólnym.

Rzecz jasna, że tego rodzaju uzupełnienie pociągnęłoby za sobą rozszerzenie ram wydawnictwa i wzrost kosztów. Jednak potrzeba, jest naprawdę paląca, a okazja do jej zaspokojenia — wyjątkowa. **Trzeba przecież rozbudować rzecz już istniejącą.**

I jeszcze jeden postulat. Uważam, że ewentualne uzupełnienia, opisy i cytaty, powinny dotyczyć przede wszystkim społeczno-gospodarczej podbudowy dziejów. Stronę polityczną omawiają wcale obszernie podręczniki, dostarczając nawet odpowiednich tekstów. O dopełnienia z tej dziedziny i z dziedziny kultury jest znacznie łatwiej.

Zresztą wśród uczniów istnieje wyraźny pobyt na sprawy społeczne. Naszą rzeczą jest zaspokoić go. A uczniowie wolą wydawnictwa typu Biblioteczki, od tekstów źródłowych Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

Książki i czasopisma

Rocznik Tatarski. T. II, Zamość 1935.

Ruchliwy Zarząd Związku kulturalno - oświatowego Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej wydał przed dwoma miesiącami drugi tom **Rocznika Tatarskiego**, zawierającego cały szereg rozpraw i artykułów o polskich muzułmanach. W pierwszym tomie **Rocznika** (Wilno, 1932), przyjętego nadzwyczaj życiście przez krytykę, były poruszane zagadnienia wspólnego pożycia literacko - polsko - tatarskiego na ziemiach W. Ks. Lit. w ciągu dziejów, natomiast „myślą przewodnią tomu II-go jest uwydatnienie i naukowe zobrazowanie stosunków politycznych, kulturalnych, wyznaniowych i innych Tatarszczyzny polskiej ze światem Islamu, a zwłaszcza z jej tatarsko - turecką praojczyzną”. Związki Tatarów litewskich ze Wschodem od XV wieku aż do czasów dzisiejszych omawia Leon Najman Mirza Kryczyński w rozprawie p. t. **Tatarzy polscy a Wschód muzułmański**; poszczególne zagadnienia z tego zakresu są tematem następujących rozpraw i artykułów: Olgierda Górki — **Uwagi orientacyjne o Tatarach polskich i obcych**, Stanisława Kryczyńskiego — **Bej Barski, Ananjasza Zajackowskiego — Elementy tureckie na ziemiach polskich**, Alego Woronowicza — **Początki językowe Tatarów litewskich, oraz Kitab Tatarów Litewskich i jego zawartość**, Muftiego Jakóba Szynkiewicza — **Literatura religijna Tatarów litewskich i jej pochodzenie**, Mustafa Aleksandrowicza — **Legends, znachorstwo, wróżby i gusta ludu muzułmańskiego w Polsce**, Juliana Talko - Hryncowicza — **Tatarzy litewscy a eurasjanizm**. Poza tem, z rozpraw nie wiążących się tematycznie z zamierzonym przedstawieniem stosunków Tatarów lit. ze Wschodem, należy wymienić: jedną — Tadeusza Strykiewicza - Korzóna, **Wyprawa partyzancka pułkownika Stefana Grabowskiego na Białoruś w 1794 r.** i następną — poświęconą drugiemu skolei po Gękowski orientaliście polskiem, Antoniemu Muchlińskiemu (1806 — 1877). W *Miscellaneous* mamy kilka ciekawszych notat: nowe dane o tatarskim pochodzeniu Henryka Sienkiewicza, krótkie życiorysy wybitnych Tatarów, jak np. plk. Jakóba Azulewicz, który zginął bohaterską śmiercią w obronie Wilna w r. 1794, o śladach osad tatarskich na terenie województwa lwowskiego i inne. Materiały, recenzje i sprawozdania, bogata kronika krajowa i zagraniczna, oraz część literacka (Józefa Wierzyńskiego, Selim i Hania jako symbole) — uzupełniają całość tego pięknego i ciekawego wydawnictwa, ozdobionego w tekście licznymi dobrze wykonanymi ilustracjami (45).

Warto na tem miejscu — przynajmniej niektóre z wymienionych prac omówić.

Naczelna rozprawa Leona Kryczyńskiego — szkieletowo potraktowana ze względu na rozległość tematu — zajmuje się z jednej strony wyświetleniem stosunków naszych Tatarów z muzułmańskim Wschodem, znaczenia i roli ich w ważnych zdarzeniach historycznych w państwach i krajach turko - tatarskich, z drugiej — podkreśla korzyści, jakie miała dawna Rzplita Polska z kontaktów jej tatarskich obywateli z Ta-

tarszczyzną — i to od czasów bardzo dawnych, bo od XV stulecia. Mimo oderwania od swojej praojczyzny i zapomnienia ojczystego języka, nie ztratili jednak poczucia odrębności etnicznej i łączności z ludami muzułmańskimi na południowo-wschodzie. Złożył się na to szereg czynników. Przede wszystkim ożywione stosunki polsko-litewskie z Krymem i Turcją, były naturalnym podścieliskiem utrzymywania w Tatarach lit. świadomości wspólnego pochodzenia z ludów tatarsko-tureckich, wzmacnianej odrębności wierzeń oraz pielgrzymkami do Mekki i Medyny. Tatarzy lit. sprowadzają często z Krymu lub Turcji duchownych, imamów; posłowie, gońcy, dyplomaty, tłumacze — zwykłe Tatarzy z pochodzenia — goszczą w stolicy tureckiej nad Bosforem. Posłowie krymscy i tureccy do Rzplitej odwiedzają swoich współwyznawców na Litwie, a nawet interweniują w ich sprawach. Emigracje naszych muślinów do Krymu i Turcji oraz reemigracje części wychodźców do Rzplitej przyczyniały się również do zacieśnienia więzów duchownych ze Wschodem muzułmańskim. W XIX w., a szczególnie w XX, Tatarzy nasi odgrywały wybitną rolę w ruchu oświatowym, społecznym i rewolucyjnym wśród swoich współplemieńców na Krymie i Azerbajdżanie. W okresie rewolucji rosyjskiej (1917—1920) cały szereg litewskich Tatarów bierze udział w odbudowie państwa krymskiego i azerbajdżańskiego i piastuje naczelne lub bardzo wybitne stanowiska, choćby wspomnieć tu Macieja Gulikiewicza, prezesa rządu krymskiego, później szefa sztabu gen. republiki Azerbajdżanu, Aleksandra Achmatowicza, ministra sprawiedliwości, Olgierda i Leona Kryczyńskich i innych. W dobie dzisiejszej nie przerwali Tatarzy stosunków z ludami południowymi i południowo-wschodnimi, a ich współwyznawcami. Liczne podróże najwybitniejszych przedstawicieli muślinów są tego wymownym dowodem.

Taka jest treść tej pierwszej rozprawy, podana w bardzo wielkim skrócie. Oprócz celu czysto naukowego: zbadać jak było w przeszłości, przyświecał autorowi jeszcze cel inny: Określa to w ten sposób: „Drugim celem... była chęć zapoznania ogółu z drogami i perspektywami, mogącymi wchodzić w grę w nawiązywaniu przez odrodzone Państwo Polskie stosunków przyjaźni z państwami muzułmańskimi. Materiał historyczny, zawarty w rozprawie, powinien rozwiązać najbardziej istotne dla narodu tatarskiego w Polsce zagadnienie: czy potrafi on być łącznikiem między swą przybraną ojczyzną a Wschodem? Odpowiadamy zgóry: tak. Cała przeszłość historyczna muślinów polskich daje na to pytanie odpowiedź twierdzącą. A dzisiaj muzułmanie polscy są w tem szczególnie położeniu, że nie i nikt nie stoi na przeszkodzie w dalszym podtrzymywaniu przez nich relacji ze Wschodem”.

Prof. Olgierd Górka w rozprawie p. t. **Uwagi orientacyjne o Tatarach polskich i obcych** — stwierdza, że w dotychczasowych pracach o Tatarach wogóle — wszechwładnie panuje fantazyjność i przesada. Konstataje trzy główne grzechy naszej historjografji: 1) poglądy polskie nie są kontrolowane przez źródła tureckie i tatarskie, 2) niema współpracy historyka z orientalistą i 3) brak „umiaru rzeczywistości”. Stąd

w dziełach naszych dziejopisów roi się od fantastycznych cyfr wojsk tatarskich i tureckich. Lekką ręką szafuje się dziesiątkami i setkami tysięcy najezdników, co nie niema wspólnego z rzeczywistością historyczną. Powtarza prof. Górka własny pogląd, wyrażony już dawniej w **Dziejowej rzeczywistości**, że Tatarzy krymscy mogli zmobilizować najwyżej 40 tys., a w polu wyprowadzić do 20 tys. ludzi — nie więcej. Zaś Tatarzy budziący i dobrudzy razem zebrać mogli zaledwie ponad 3 tys. koni, a nie dziesiątki tysięcy, jak to przedstawiają źródła polskie. Podkreśla, że Tatarzy zwyciężali nie liczbą, lecz „temperamentem bojowym, szybką mobilizacją, organizacją wojskową, oraz nieznaną naogół u Polaków wytrzymałością na trudy bojowe i niezrównaną ruchliwością kawalerijską”. Przesada w cyfrach nie jest właściwością tylko naszej historjografji. Pisarze tureccy pod wpływem wschodniej fantazji jeszcze bardziej przekraczają granice rzeczywistości. Tak np. dziejopis z XVII w., Peczewi, opisując bitwę nad Worskłą w r. 1399, opowiada, że Timur wziął w jasyr 720 tys. ludzi i 18 tys. koni; pod Cewrą zaś — podług niego — było 53 tys. wojsk polskich, tureckich i tatarskich tylko 10 tys. Tak więc mamy do czynienia z bajkowymi opisami jednej i drugiej strony.

Redukcja cyfr powinna zresztą dotknąć nie tylko Tatarów krymskich. To, co się mówi o setkach, a choćby nawet o dziesiątkach tysięcy Tatarów W. Ks. Lit., jest fantazją naszych pisarzy. Prof. Górka redukuje cyfry do plus-minus 7 tys. w XVI w. i 9 tys. w XVII.

Trzeba przyznać, że prof. Górka ma dużo racji, gdy mówi o grzechach naszej historjografji, fantazji, przesadzie, ignorancji źródeł obcych, w tym wypadku — tureckich i tatarskich, i gdy wskazuje słuszną drogę dochodzenia prawdy — z drugiej jednak strony w dążeniu do obalenia starych poglądów wpada — takie się odnosi wrażenie — w przesadę in minus, jeśli tak wolno powiedzieć.

Materiał źródłowy, na podstawie którego urabia prof. Górka swoje poglądy, jest tak nikły, że pochopność do formułowania wniosków wydaje się trochę, niebezpieczna. Temperament bojowy — właściwy rewizjonistom — i chęć udowodnienia a priori powyższych sądów — osłabiają silnie pozycję autora. Nie znaczy to jednak, ażeby wysiłki prof. Górki były bezowocne. Ustalając właściwą metodę badań w zakresie historii wojennej Polski, oraz podważając zakorzenione poglądy na dzieje militarne dawnej Rzplitej, niewątpliwie położył duże zasługi na polu badań historycznych. I tego nikt nie będzie negował.

Jeśli chodzi o poszczególne kwestje — nie można się zgodzić np. na wywody autora, że Tatarów naszych powinno się nazywać polskimi, a nie litewskimi, bo ta ostatnia nazwa — słowa Górki — „to określenie ukute w naukowej literaturze odrzucania jednej a przyjmowania drugiej. Nazwa zakwestjonosyjskiej”. Długi, wielostronnicowy wywód na temat słuszości nomenklatury „Tatarzy polscy” jest zgola zbyteczny. Obie bowiem nazwy są uprawnione i nie zachodzi potrzeba nowana przez autora nie jest bynajmniej „ukuta” przez naukę rosyjską — lecz tak właśnie brzmi ona w aktach urzędowych dawnej Rzplitej oraz w innych źródłach historycznych polskich i litewskich.

Twierdzenie, że tylko do królów-dynastów byli Tatarzy przywiązani, natomiast słabe były więzy uczuciowe z Michałem Wiśniowieckim i Janem Sobieskim, jako królami-rodakami — nie jest dostatecznie obwarowane argumentami. Boć zdrada Lipków Kryczyńskiego i innych tatarskich rotmistrzów w r. 1672 nie może być wystarczającym dowodem braku szacunku i miłości do królów, nie pochodzących z rodów panujących.

Z innych rozpraw historycznych zasługuje na uwagę ciekawe opowiadanie o beju barskim Stanisława Kryczyńskiego. Ów bej barski — to znajomy z „Pana Wołodyjowskiego”, Aleksander Kryczyński, rotmistrz tatarskiej chorągwi 7 Kr. M., żołnierz dla Rzplitej bardzo zasłużony, który jednak pod koniec życia przeszedł na służbę turecką (1672), pociągając za sobą wielu innych dowódców lekkiej jazdy tatarskiej. Autor stara się określić przyczyny, które spowodowały ów ruch emigracyjny Tatarów, zw. Lipkami, (nazwa niewyjaśniona), do Turcji. Dostrzega ich kilka. Ucisk ekonomiczny, ciężka dola chorągwi tatarskich, konsystujących na Ukrainie, świadomość wspólnego pochodzenia z Turkami, z którymi mieli waleczyć, miłość do kalifa-sultana, wreszcie żądza zaszczytów i ambicja niektórych przywódców, Kryczyńskiego przedewszystkiem. — oto najważniejsze przyczyny wypadków z roku 1672. Wyemi-

gowało wtedy do Turcji podobno do 3 tys. Tatarów koronnych i litewskich. Tat. chorągwie nawet w czasie walk przechodziły na stronę turecką. W traktacie buczackim znalazły się artykuły, gwarantujące swobodne przenoszenie się Tatarów lit. do krajów muzułmańskich.

Aleksander Kryczyński, który spośród wszystkich dowódców, przybyłych z Polski do obozu tureckiego, miał opinię najlepszego i najbardziej zasłużonego żołnierza — otrzymał od sultana bejostwo barskie. Z Baru czynił często łupieżcze wyprawy w głąb ziem polskich. Niedługo jednak cieszył się zaszczytami i laskami tureckiego władcy. Właści jego towarzysze — przeważnie Tatarzy lit. — niezawodnie z nowej służby, zabili go 13 października 1673 roku. Część emigrantów powróciła wkrótce do Polski, korzystając z amnestji sejmowej i przebaczenia królewskiego.

Zdrada chorągwi tatarskich w r. 1672 — to odoobnoyny wypadek w dziejach długowiekowego współżycia litewsko-polsko-tatarskiego.

Ananjasz Zajączkowski próbuje wyjaśnić nazwę i pochodzenie Tatarów i Karaimów, oraz podkreśla wpływ tych grup narodowościowych na kulturę i język polski, wpływ szczególnie silny w zakresie strojów, sprzętów, nazw (ulan, janczario-wie, bulat, czekan, bułany, ogier, kulbaka, ferezja, burka, tapezan, filizanka i inne). Rozprawę kończy stwierdzeniem, że „rola dziejowa, jaką te grupy spełniły, jest chlubna: przypadło im w udziale pośrednictwo między Wschodem i Zachodem wówczas, kiedy nie było jeszcze zawodowych orientalistów”.

Mustafa Aleksandrowicz daje w swoim artykule przegląd legend, znanych w środowiskach tatarskich w Polsce, oraz omawia gusła, praktyki znachorskie, sposoby zamawiania muślimów polskich. Z legend wymienia: łowczycką, o Ewlii, mającym cudowną moc przenoszenia się codziennie ze wsi rodzinnej do Mekki na modlitwy; siemiawiecką, o ementarzu, który dziecka żydowskiego przyjął nie chciał; bohonićką, o świątobliwym pustelniku na górze Gzorcowej; wreszcie legendę o powstaniu osady Sorok-Tatarzy.

Ali Woronowicz w Szcątkach językowych Tatarów litewskich zestawia wyrazy i wyrażenia arabskie i tureckie (razem przeszło 600), zaczerpnięte z kitabów, tefsirów, chamaifów, napisów nagrobkowych i mowy potocznej. Niewiele jest słów pochodzenia tureckiego. „Pomimo przeważającej ilości wyrazów arabskich, dzisiaj przez Tatarów litewskich używanych, jaskrawo uwydatnia się tiurkiski sposób ich wymawiania. Setki lat były te wyrażenia pod wpływami języków polskiego i białoruskiego, jednak szata tiurkiska na nich pozostała. — Cały szereg wyrazów rdzennie arabskich albo tiurkskich uległ przemianom i przybrał formę polską albo białoruską. Te dwie cechy charakteryzują pozostałości i czynią je godnymi uwagi orientalisty i polonisty”.

Nie sposób na tem miejscu omawiać obszerniej i wszystkie rozprawy, stanowiące zawartość drugiego tomu Rocznika Tatarskiego. Najlepiej, jeśli każdy, kto choć trochę interesuje się przeszłością naszych ziem, weźmie do ręki to niezmiernie ciekawe i piękne wydawnictwo, świadczące chlubnie o szlachetnych intencjach, przedsiębiorczości i talencie organizatorskim jego redaktorów.

Nota. Żał tylko, że pod wielu względami tak świetne wydanie zeszytowane zostało błędami zecerskimi, nawet w polowie nie objętymi erratą.

L. Krawiec.

Alma Mater Vilnensis. Czasopismo akademickie. Zeszyt 12. Wydawnictwo „Kola Polonistów” stud. U. S. B. Wilno, 1935.

Po dwuletniej przerwie ukazał się w ostatnich dniach 1935 roku nowy numer **Almae Matris Vilnensis**.

Numer ostatni, jak wynika ze wzmianki w **Kronice** (s. 85), jest poświęcony Wielkiemu Wskreszycielowi, Uniwersytetu — czemuż niema specjalnej dedykacji?! To też całość otwiera artykuł p. t. **Marszałek Józef Piłsudski wobec Uniwersytetu Wileńskiego** Wandy Achrem-Achremowiczowej. Składa się on w znacznej mierze z wyjątków pism i mów Marszałka (niektórych niedrukowanych dotąd), dotyczących „drogich i świętych murów” Wszechnicy Batorowej.

Wśród artykułów naukowych, znajdujących się w tym numerze, zwracają na siebie uwagę trzy pierwsze. Są one gru-

powym przejawem tego, co nabiera wśród badaczy nad literaturą rozgłosu jako „szkoła formalistyczna”. „Szkoła” ta, jak wiadomo, stawia sobie za cel badanie utworów literackich jako dzieł sztuki.

Studia, publikowane w „Alma Mater”, nie mają specjalnego „światoburczego” nastawienia — nie są poświęcone rozprawom teoretycznym, ale stanowią pozytywny przykład badań formalistycznych.

Pierwsze z nich Jerzego Putramenta **Struktura nowel fantastycznych Prusa**, odznacza się nowem, a zarazem bardzo przekonującym podejściem do tematu i może uchodzić za wzór metodyczny w badaniu nowel wogóle. Nasuwają się jednak w związku z nią i zastrzeżenia. — Jedno techniczne. — Putrament fatalnie zbudował swój artykuł — dał na początku bez żadnych objaśniających wstępów obszerną analizę „Nawróconego”, a potem właściwą część studjum, (która jest prawie o połowę krótsza od analizy) i w ten sposób najniepotrzebniej czytelnikowi zostawił wynalezienie i oświetlenie związków między obu fragmentami. — I drugie zastrzeżenie — merytoryczne, dotyczące fantastyczności w nowelach. Putrament twierdzi, że da się ona „pomieścić” w życiu realnem. — Otóż niezawsze. Właśnie w owym przykładowo analizowanym „Nawróconym”, znajduje się fakt, którego realistycznie wytłumaczyć nie można. — fakt rzeczywistego przyjścia i niezwyklego zachowania się owej widzianej we śnie żebraczki. Naświetla on wstecz i wizję sądu w piekle jako zdarzenie, które naprawdę miało miejsce i które było potrzebne do ostatecznego wypróbowania bohatera. Element fantastyczny spełnia tu rolę palety podkreślenia eksperymentu.

Niezwykłą wnikliwością, wczuciem się w przedmiot, wszechstronnością podejścia i darem obserwatorskim, odznacza się druga z prac formalistycznych — **Technika tajemniczości w powieściach Choromańskiego** E. Krassowskiej. Autorka wywiązała się z zadania świetnie. Wszystkie elementy tajemniczości jak sytuacja początkowa, jednocześnie kilku zdarzeń, nawroty do danego momentu, hamowanie akcji, i t. d., — są „wypreparowane” i określone w sposób niesłychanie precyzyjny. Jedną tylko kwestję uważałbym za niewłaściwie postawioną w rozprawie. — Oto niepotrzebnie uznaje autorka technikę tajemniczości **Białych Braci** i **Zazdrości i Medycyny** za jednakową. — Pierwszą nazwałbym „techniką niedopowiedzeń”, gdyż polega ona na przemilczeniu przez autora głównej wiadomości o bohaterze — wyjaśnienia w tej sprawie gromadzą się niby mimowolnie przy różnych okazjach, akcja biegnie zupełnie niezależnie od niej, — drugą zaś „techniką wyjaśniania niewiadomych” — tutaj bowiem akcja wyraźnie zdążyła do rozwiązania tajemnicy.

Praktycznie jednak pomieszanie to nic nie zaszkodziło, bo obie powieści analizowane są osobno. Za „lapsus linguæ”, uważam powiedzenie autorki, że „bezkatastroficzne” zakończenie **Zazdrości i Medycyny** spowodowane jest zamiarem przełamania tradycyjnego rozwiązania takich sytuacji. Chodzi tu wszak o tytułową zazdrość, która chyba dość bijąco w oczy została przedstawiona. Ze względu na uczucie Widmara sprawa zakończyła się, jeśli się wogóle zakończyła, katastrofalnie. Choromański, zamykając książkę pogodnie, w gruncie rzeczy dał upust swemu sarkazmowi — niezbyt pięknie bowiem

wygląda Rebeka jako wierna i cnotliwa żona, a Widmar jako spokojny o swój honor i niezazdrosny mąż.

Trzecią wreszcie pracą z zakresu badań nad literaturą są **Uwagi o stylu hymnów Kasprowieza** Ireny Sławińskiej. Sławińska potraktowała swój temat na tle porównawczem, biorąc pod uwagę najbardziej reprezentatywnych poetów **Młodej Polski** i symbolistów francuskich. Zapewne szczupłość miejsca (na którą autorka często utyskuje) sprawiła to, że zestawienie wypadło bardzo... urywkowo. Nasuwa się tu wprost wątpliwość, czy można rozprawy o stylu większych utworów drukować w parostronicowym artykule. Siłą rzeczy muszą się tu dostać sprawy najtypowsze, ale dlatego i... najłatwiej uchwytnie. Sławińska zastanawia się dłużej nad tem, co za teoretykami niemieckimi nazywa „motywami słownymi”, omawia dalej takie figury stylistyczne jak epitet, metafora, kontrast, ogólnikowo charakteryzuje składnię, nie bada natomiast rytmu, rymu i eufonii.

Etnografję reprezentuje w tym numerze niezwykle barwna praca Marji Znamierowskiej-Prüfferowej p. t. **Ryba-cy — ludzie zapomniani**. Praca ta łączy w sobie (może trochę chaotycznie) wiadomości o dawnej i obecnej kulturze rybaków, ich psychologii, obyczajach, przesądach, informuje o różnego rodzaju połowach, opowiada nawet o pojedynczych ludziach, zdarzeniach i t. d.

Krótki artykuł Aleksandry Zajkowskiej **O podstawach oceny etycznej**, oparty na analizie i podstawie sądów etycznych G. E. Moora, poświęcony jest zagadnieniu sądów o wartości.

Czesław Jeśman w artykule p. t. **Indje**, analizuje nową sytuację prawną i polityczną w Indjach, wytworzoną przez wprowadzenie ostatniej konstytucji (federacja).

Artykuł Haliny Jastrzebskiej p. t. **Szkolnictwo b. Jednoty Litewskiej na podstawie kanonów z lat 1611—1700**, przynosi sporą ilość niezbyt przesyntetyzowanych wiadomości. Żałować należy, że autorka ograniczyła się tylko do tego jednego źródła — obraz szkolnictwa Jednoty Litewskiej nie byłby może tak fragmentaryczny.

Rozważania z zakresu penologii zawiera studjum Mikołaja Leonieńskiego p. t. **Kara**.

Dział literacki nie odznacza się wielkiem bogactwem. Wystąpiło w nim tylko pięciu autorów z sześciu wierszami (w tem dwa przekłady). Są to — Bujnicki, Putrament, Rymkiewicz, Nieławicka, Zagórski. Jak widać brak nazwisk nowych. Wiersze oczywiście są na dobrym poziomie, ale nie przynoszą rewelacji w stosunku do poprzedniej twórczości tych poetów.

Ilustracji jest dużo. Przeważnie są to reprodukcje prac studentów Wydziału Sztuk Pięknych. Uderza tu szczególna obfitość drzeworytów, które niemal bez wyjątku świadczą o dobrem postawieniu tego działu na „Sztuce” (wyróżnia się tu szczególnie „Żniwo” Władysława Dremy).

Za niekonsekwencję w zredagowaniu tego numeru trzeba uznać to, że pomimo poważnego charakteru, zamieszczono w nim całkiem „niepoważne” zdjęcia. Psują one stanowczo ogólny ton i dzielą niepotrzebnie całość na dwie nieharmonizujące części.

Czesław Boholewski.

WŁÓCZĘGA PO MIEŚCIE I WSI

KOMISJA URBANISTYCZNA W SPRAWIE PALACU ŚLUSZKÓW.

Utworzona z inicjatywy wojewody L. Bociańskiego Komisja Urbanistyczna wykazała żywotność i ruchliwość. Odbyla ona w ciągu lutego i marca kilkanaście posiedzeń, poświęconych zagadnieniom Rossy. Ostatnio Komisja zastanawiała się nad sprawą odtworzenia dawnego wyglądu części Antokoła w okolicach dawnego pałacu Ślusków. W myśl projektów wojskowe więzienie mieszczące się w tym pałacu miałoby odstąpić lokal Zarządowi miasta, wzamian za jakiś inny obiekt. W pałacu zostałoby urządzone muzeum, oraz sale wystaw sztuki.

W związku z tem poruszono również sprawę zniesienia koszar wojskowych naprzeciwko pałacu Ślusków.

PRZENIEŚĆ RYNEK ZARZECZNY.

Rynek Zarzeczny stał się od pewnego czasu anachronizmem. Znajduje się dzisiaj w centrum miasta, przy ruchliwej arterji komunikacyjnej do N. Wilejki, i dalej — aż do Ko-

bylnika, oraz na trasie wycieczek na Belmont, do Puskarni, do Tupaciszek. Nawpół zgnile, brudne stragany drewniane prezentują tu turystom warunki sanitarne handlu. W dodatku przed rynkiem znajduje się miejska szkoła powszechna dla dziewczynek. Uczennice w dnie targowe są zmuszone przecisnąć się przez brudny, cuchnący rynek i wysłuchiwać mało budujących dialogów.

Czy nie byłoby możliwem przenieść ten rynek na inne miejsce, natomiast na placu rynkowym urządzić skwer? Dzielnica Zarzeczne nie posiada takiego rezerwaru świeżego powietrza. Rynek zaś mógłby być przeniesiony na nowoutworzony dzięki robotom ziemnym plac przy zbiegu ulic Holender ni i Popowskiej oraz Kirkutowej. W ten sposób rynek obstu giwałby nie tylko Zarzeczne, lecz również i Antokol.

O PIĘKNO OKOLIC WILNA.

Karolinki są jednym z najpiękniejszych miejsc spacerowych Wilna. Dostęp do Karolinek może odbywać się bądź przez Zakręt — przez wciąż niedostępny dla zwykłych śmier-

techników most strategiczny (wtajemniczeni utrzymują, że władze kolejowe, administrujące mostem, czynią to ze względów na ochronę zabytków — przytem zabytkiem jest oczywiście nie most, lecz biuro w Dyrekcji P. K. P. wydające przepustki na ten most), bądź też od strony Zwierzynca. Otóż na Zwierzynca droga na Karolinki prowadzi przez wąwóz, służący mieszkańcom Zwierzynca do wysypywania śmieci. Śmietnik, jak śmietnik — czuć go potężnie. Publiczność, chcąc dostać się na uroczysko Karolinki — musi przeto przebrnąć przez ów lokalny hades. Ciekawe, kto ponosi odpowiedzialność za taki stan rzeczy? Zarząd Miejski, czy też właściciel Karolinek — p. Pimonow.

„Z WILNA — DO WILNA” ORAZ „WIELKIE KOŁO WSCHODNIE”.

Związek Propagandy Turystycznej ziemi Wileńskiej opracował planiki wymienionych tras kajakowych. Planiki te mają być rzucone na teren całej Rzeczypospolitej w celu propagandy turystycznej Ziemi Wschodnich. Pierwsza trasa prowadzi z Wilna w górę rzeki Wilgi — do Michaliszek, w okolicach których wpada do Wilgi rzeczka Stracza. Straczą wiedzie trasa wodna do jeziora Świr, stamtąd zaś rzeczką Perekop — aż do jez. Narocza. Z Narocza przejeżdża się na jez. Miastro, stamtąd zaś prowadzi przeskok lądowy (wozem) do jez. Miadziół. Z Miadziół rzeczką Miadziółką jedzie się do rz. Dżisny, Dżisną do Dżwiny. Cała trasa od jez. Miadziół — do Dżwiny i Dżwiną — do Drui biegnie z prądem rzek. Od Drui — rzeczką Drujką (pod prąd) jedzie się na jeziora Brasławskie. Z Brasławia — przeskok lądowy (kolejką wąskotorową) na jeziora Dukszańskie. Z Dukszt przeskok koleją normalnotorową — do Ignalina, stamtąd zaś — jeziorami na Żejmianę i z prądem tej rzeki spowrotem na Wilję i do Wilna.

Druga trasa zaczyna się w Grodnie, skąd wiedzie z biegiem Niemna — do Niemnowa — na Kanał Augustowski. Naprzemian kanałem tym, Czarną Hańczą (pod prąd) oraz jeziorami Augustowskimi — do rzeki Biebrzy (z prądem). Biebrzą i dalej Narwią — do ujścia Bugu. Bugiem (pod prąd) do Brześcia Litewskiego. Dalej Muchawcem i kanałem Królewskim na Pinę. Z prądem Piny przez Pińsk — na Jasiółkę. Jasiółką (pod prąd) — do kanału Ogińskiego i poprzez jez. Wygonowskie — na Szczarę. Szczarą (z prądem) via Slonim — na Niemen i z prądem tej rzeki — do Grodna spowrotem.

Wymienione planiki mają być zaopatrzone w szczegółowe wskazówki, dotyczące dojazdów kolejowych do poszczególnych punktów tras, schronisk, odległości trasy i t. p. Nadmienić należy, że obydwie trasy zostały zbadane i opisane przez Klub Włóczęgów. Pierwsza przez Akademicki Klub Włóczęgów, druga — przez Klub Włóczęgów Senjorów.

KILOMETR W WILNIE.

Jak się dowiadujemy znany w połowie świata Włóczęga Kilometr (dr. Wacław Korabiewicz) pozostanie przez cały rok ze względów rodzinnych w Polsce. Wróci oczywiście do Wilna. Witamy go. Może rozrusza zaśniedziałe i dziwnie umiasteczkiwione w ostatnich latach młode Wilno.

MINISTERSTWO KOMUNIKACJI A MINIMALNE POTRZEBY WILEŃSZCZYN.

Jak się dowiadujemy — koleje państwowe i w roku bieżącym nie zamierzają zrealizować minimalnych wymagań inwestycyjnych Wileńszczyzny, związanych z turystyką: budowy odgałęzienia kolejowego z Landwarowa do Trok oraz budowy odgałęzienia wąskotorówki od Kobylnika — do wsi Hatowice nad Naroczem (t. zw. „stare schronisko” nad jeziorem). Koszty wymienionych prac sięgają dziesiątków tysięcy złotych, użyteczność zaś społeczna tych odgałęzień jest ogromna. Na to pieniędzy braknie, zapewne dlatego, że kolejka linowa na Kasprowy Wierch pochłonęła miliony. Widocznie w Warszawie koniecznie chcą mieć swoją własną Syberję i rolę tą ma spełniać Wileńszczyzna.

OSŁE KOPNIĘCIE.

W numerze z dn. 8 kwietnia „Słowa” ukazał się również niedołężny co do formy jak i brutalny w treści wierszyk na „zdechnięcie „Poprostu”. Jak wiadomo komunistyczne „Poprostu” zostało decyzją Sadu zamknięte. Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami ideologii „Poprostu” oraz metod działania grupy ludzi, pisujących w tym piśmie. Niemniej wystąpienie „Słowa” w stosunku do przeciwnika, który bronić się już nie może, uważamy za typowe osłe kopnięcie.

WILNO PROMIENIUJE.

„Zrąb” Uniwersytecki zorganizował ostatnio serię prelekcji dla miast i miasteczek Wileńszczyzny i Nowogródzkiej. Odczyty wygłaszają profesorowie i docenci U. S. B. na tematy społeczne i gospodarcze. Odhyło się już kilkanaście odczytów. Jak widać intelektualne Wilno zabrało się do roboty.

W ZWIĄZKU Z EMIGRACJĄ SEZONOWĄ DO LOTWY.

Z powiatów Postawskiego i Brastawskiego w roku bieżącym, tak samo, jak w latach poprzednich, wyjeżdża dość znaczna ilość robotników i robotnic rolnych do Lotwy na sezonowe prace. W związku z tem zarysowuje się już obecnie wyżka plac dla robotników w tych powiatach. Jest to objaw zewszeczmiar pożądaný, zważywszy ciężką sytuację drobnych gospodarstw rolnych na tym terenie.

WILEŃSKI TEATR OBJAZDOWY.

W związku z likwidacją dotychczasowego zespołu Teatru Objazdowego, dowiadujemy się, że ta pożyteczna akcja kulturalna nie zostanie w ten sposób przerwana. Dyrekcja Teatru Miejskiego w Wilnie ma uruchomić swój własny zespół objazdowy, który już w najbliższym czasie rozpocznie pracę. Należy się spodziewać, że nowy zespół wskrzesi tradycję wysokiego poziomu teatru objazdowego. Doświadczenie wykazało, że tylko naprawdę dobry teatr ma szansę powodzenia na prowincji.



DRUKARNIA I INTROLIGATORNIA „ZNICZ”

WILNO, UL. BISKUPA BANDURSKIEGO Nr. 4, TELEFON 3-40

WYKONUJE WSZELKIEGO RODZAJU ROBOTY W ZAKRESIE DRUKARSTWA

1937

60

29.8.77

